№ 43. Warszawa, dnia 15 (27) Października 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kwestye i Sprawy.

V.

Nasza pracowitość.

W poprzednim artykule wykazaliśmy przy końcu cechy pracy prawdziwie ludzkiej, wszystko ogarniającej i naturze człowieka odpowiedniej. Z owych wywodów, jak mniemamy, wynika, że pracować obowiązanym jest każdy człowiek bez wyjątku, bo prawo natury jest jedno i stosujące się do wszystkich, a nie pracujący wyrzekaliby się dobrowolnie najistotniejszej i najważniejszej cechy swego człowieczeństwa. Co więcej, ludzie oddający się stale próżniactwu, spadają nawet niżej zwierząt, bo zwierzęta przynajmniej pracują dla wyżywienia się, rozmnożenia — szukają zdobyczy, zbierają zapasy, budują gniazda i nory — a ci z pomiędzy ludzi bogatych, którzy mając wszystko gotowe, przez innych ludzi przygotowane i niemal do ust sobie włożone, których wszelkie wygody i potrzeby są zaspokojone na skinienie przez płatne ręce — tacy, jeżeli nie oddają się pracy wyższej i szlachetniejszej, są prawdziwymi pasożytami na świecie. W powszechnej bowiem ekonomii przyrody, każde indywiduum w zamian za to, co bierze i zużywa, musi dać od siebie coś do ogólnej skarbony, z której inni biorą i zużywają, to jest każdy powinien na siebie pracować. Stosuje się to nietylko do środków wyżywienia, ale także do umysłowej i cywilizacyjnej skarbnicy ludzkości: zasób pewnych pojęć i zdobyczy naukowych tak samo kapitalizuje się przez przodków dla potomności, jak wskutek oszczędności tworzą się kapitały ruchome i nieruchome. Jeżeli ktoś, wskutek prostego trafu urodzenia czy też wskutek pracy przodków, znajduje się w tem położeniu, że pracować dla utrzymania życia nie potrzebuje, nie zwalnia go to bynajmniej od obowiązku pracy wyższej, szlachetniejszej, prawdziwie ludzkiej, której tyle sfer i gałęzi stoi dla ludzi otworem. Wyższa ta praca, duchowa i umysłowa, nietylko wpływa na udoskonalenie i uszlachetnienie pracujących, ale niewidzialnemi drogami, tysiącem ogniw łączy się z powszechną pracą całej ludzkości, a nawet, choć tego wykazać i sprawdzić nie mamy dziś jeszcze możności, wpływa na dobrobyt i zachowanie życia innych jednostek. Tak jest: zaniedbanie pracy, próżnowanie tego lub owego pana albo pani, nietylko powstrzymuje w części wzrost i zbogacenie się umysłowego i duchowego poziomu ludzkości w danym czasie, ale niezawodnie przykłada się do utrzymania pewnej liczby indywiduów w stanie ciemnoty, do wzrostu występków i nędzy, do śmierci głodowej bliźnich. Czytelnik z łatwością poczuje prawdę powyższego zdania, choć trudno byłoby je dowieść matematycznie, z powodu niezmiernie splątanych i licznych ogniw przyczyn i skutków, które w życiu ludzkości działają, a w krótkich słowach rozwikłać się i wyjaśnić nie dadzą.

Że praca w sferze czynności podobnie jak dobro i prawda w sferze uczuć i myśli, jest naturalnem przeznaczeniem człowieka, widać to także i z jednomyślnej pod tym względem zgody pomiędzy ludźmi i podobnie jak nikt nie przyzna się, że jest złym lub kłamcą, tak nikt nie powie, że jest próżniakiem i nic nie robi, owszem, każdy mówi chętnie i wiele o swojej pracy, a najwięcej i najchętniej — ci, którzy najmniej pracują. Mamy więc mnóstwo „pracowitych próżniaków“ którzy częstokroć sami siebie łudzą pozorami pracy, wynajdują sobie zajęcia czcze i bezowocne, jak najmniej wysiłku potrzebujące, a służące tylko do „zabijania czasu.“ Zapominając bowiem o tem, że to raczej czas nas zabija, nie mają go czem zapełnić, a zapominając i o tem także, iż każda praca powinna być przede wszystkiem rozumną i do pewnego celu skierowaną, rozpraszają i marnują swoje siły w przedsięwzięciach i usiłowaniach nierozumnych i marnych, źle obmyślanych lub nie mogących przynieść żadnego pożytku.

Ludzie bogaci, nie potrzebujący pracować na życie, najczęściej jednak pracują nad pomnożeniem swoich dostatków. Zabiegi te, oczywiście, nie mogą zasługiwać na potępienie, już to ze względu na potomstwo, dla którego, z natury rzeczy, rodzice pracować powinni; już to ze względu na wymagania rozwoju ekonomicznego; już to wreszcie i dla tego, że praca w tym kierunku nieraz staje się prawdziwie pożyteczną i w innych, ogólniejszych kierunkach dla dobra i kraju. To tylko jest wadliwem, że wrodzona naturze ludzkiej chciwość i pragnienie posiadania coraz to więcej, najczęściej odbierają owym zabiegom cechę pracy prawdziwie ludzkiej, sprowadzają ją do ciasnej jednostronności wyłącznej pogoni za zyskiem, prowadzą do nadużyć i czynią w końcu działalność w tym kierunku całkiem lub przeważnie egoistyczną, a więc niewątpliwie dla społeczeństwa i dla kraju szkodliwą. Ponieważ bowiem człowiek nie żyje i żyć nie może samotnie, lecz jest z natury „zwierzęciem towarzyskiem“ jak mówi Arystoteles, ztąd wszelka jego działalność powinna mieć też na widoku pożytek i dobro bliźnich. Tylko zwierzę dzikie i drapieżne dba tylko wyłącznie o siebie; podstawą zaś organizacyi ludzkiej społecznej i państwowej są wzajemne ustępstwa pomiędzy ludźmi, a podstawą stosunków humanitarnych i moralnych — wzajemne pomiędzy ludźmi przysługi. Podobnie więc jak ten, kto nie pracuje, szkodzi spółbraciom i spółobywatelom, tak samo ten, kto wyłącznie działa w celach egoistycznych, krzywdzi innych; każda bowiem korzyść wyłączna, bez skrupułów zdobyta, jest pokrzywdzeniem bliźniego, a często krzywda jednego odbija się na krzywdzie wielu innych, wskutek tego samego związku przyczyn i skutków, o którym wspomnieliśmy powyżej.

Jak cenną dla człowieka jest praca, widać jeszcze

z tego, że jedyną ucieczkę, pociechę i uspokojenie śród przeciwności, zgryzot i zmartwień człowiek znajduje właśnie w pracy, jak to niemal każdy stwierdził własnem doświadczeniem. Nakoniec niezbędną konieczność pracy pokazuje nam sama natura już w tem, że praca fizyczna i umysłowa podtrzymują zdrowie i życie, zaostrzają apetyt, sprowadzają zdrowy i prawdziwie posilny sen, czynią wreszcie stokroć przyjemniejszemi wszelkie rozrywki i odpoczynek, nadają powab życiu. Ludzie pędzący życie w gnuśnej bezczynności pozbawieni są tych wszystkich korzyści, wegetują jak rośliny lub jak kamienie mchem porosłe, tyją chorobliwie lub też, przeciwnie, umierają zawczasu i tylko wypada dziwić się, że znaczna liczba próżniaków przez długi stosunkowo czas jest w stanie wytrzymać życie marne i bez treści. Próżniactwo niezawodnie może doprowadzić do rozpaczy i do samobójstwa i rzeczą jest bardzo prawdopodobną, że jedną z przyczyn wzrastających obecnie z każdym rokiem samobójstw jest próżniactwo i wstręt do pracy.

Wstręt ten do pracy istnieje niezawodnie w człowieku obok pociągu do pracy, a od wyniku walki między temi dwoma sprzecznymi popędami, od zwycięztwa pierwszego lub drugiego, zależą często losy pojedynczych jednostek, całych społeczeństw i narodów. Zamiłowanie do pracy jest cząstką lepszej, szlachetniejszej natury człowieka; wstręt zaś do pracy jest objawem owej przewyższającej skłonności do złego, którą opowieść biblijna nazywa skutkiem grzechu pierworodnego. Zamiłowanie do pracy nazywamy pracowitością, wstręt zaś — lenistwem, a jak pierwsze uszczęśliwia, uzacnia i podnosi jednostki i społeczeństwa, tak drugie poniża i doprowadza do upadku. Niedarmo to i kościół uznał lenistwo za grzech śmiertelny.

Prawda wyznać każe iż grzech ten, niestety, nasz właśnie naród posiada w stopniu dość wysokim — daleko wyższym od innych narodów cywilizowanych.

Zdolności do wszelkiej pracy — tak ręcznej jak duchowej — sił fizycznych i umysłowych nam niebrak i pod tym względem nie ustępujemy żadnemu innemu narodowi, ale brak nam stałego zamiłowania do pracy, wytrwałości i stałości raz wytkniętych celów. Dzieje nasze świadczą o tem wymownie: tyle tam pięknych początków przedsięwzięć wkrótce porzuconych, tyle zbawiennych zamiarów i uniesień, rwania się do wielkich celów, niebawem zaniedbanych. Że ta wada opłakana przyłożyła się głównie do upadku kraju i narodu — nie ma potrzeby tego szeroko dowodzić. Pomimo gorzkiego doświadczenia, codzienne życie obecnego pokolenia przedstawia wybitne dowody, że niechęć do pracy przeważa u nas znakomicie. Wszystkie warstwy i klasy ludności, wszystkie gałęzie działalności i pracy zarówno fizycznej jak duchowej wykazują, że pracować bardzo nie lubimy.

(d. n).

KAPRYŚNA.

Bożeż mój, Boże! co mnie się stało?
Wciąż takam smutna, taka nie swoja,
Jakby co złego spotkać mnie miało,
Spokoju nie ma duszyczka moja.
Myślałam że mi powiędły róże,
Wyjrzę na ogród, kwitną przecudnie;
Myślałam rano że przyjdą burze,
Tymczasem cicho przeszło południe.
Najczystszy błękit na całem niebie,
Ani jednego nie ma obłoczka,
Czego ja smutna? pytam się siebie,
O czem ja myślę i gubię oczka?...

Siadam do grania, co wezmę w rękę,
To wszystko mi się zdaje nieładne;
Wezmę mazurka, wezmę piosenkę,
Przewracam, szukam — żadne a żadne.
Otwieram okno, powietrze świeże,
Napełnia pokój wonią rezedy,
I to mnie smuci, i żal mnie bierze,
Jakbym co złego zrobiła kiedy...

Gdyby to można!... ej! co ja roję!...
Gdyby to można... jak ja dziecinna!
Gdyby to można... ach! aż się boję,
Myślę rzecz taką com nie powinna.
Gdyby to słońce nie tak świeciło,
Ale się błyszczy, że aż mnie mroczy,
A nie wiem komu dobrzeby było
Żeby mu padał blask w same oczy.
Dziewczyny idą zbierać maliny,
Wezmę dzbaneczek i pójdę z niemi...
Niech sobie idą wiejskie dziewczyny
Ja się zostanę, tak jakoś źle mi.

— Co tobie duszko? ja nie wiem sama,
Suche mam oczy a serce płacze,
Ja nieszczęśliwa, zobaczy mama
Że ja miłego już nie zobaczę;
Że ja zmarnuję śliczny wiek młody,
Albo się cała we łzach roztopię,
Puść mię, matuniu, pójdę do wody...

— Czy się utopisz?... nie — nie utopię!

* * *

KIANA.

Obrazek z wysp Sandwichskich

p. C. de Marigny.

(Dokończenie).

Trzydzieści mil oddzielało nas od krateru. Wulkan Kilanea otoczony jest gęstym lasem, w pośród którego trudno bardzo torować sobie drogę. Pod cieniem tych olbrzymich drzew, z powodu wilgoci gruntu i gorącej temperatury, wyrasta pasożytna roślinność krzewin i pnączów, które łącząc się nierozwikłanemi węzłami, co krok zapierają drogę podróżnikom. Przewidziawszy te zawady, Kimo wysłał przodem kanaków, którzy siekierkami wycięli nam ścieżkę doprowadzającą do jedynej drogi łączącej wulkan z portem Hilo. Mimo to musieliśmy iść pieszo, prowadząc konie za uzdy. Grunt zasłany poodcinanemi gałęziami bardzo trudny był do przebycia; Frank nie odstępował Janiny podtrzymując ją w najgorszych przejściach, śmiała się z jego troskliwości.

— Zapominasz Franku, że byłam i jestem dotąd prawdziwem dzieckiem lasów, i równie pewnie jak ty stąpać po nich umiem. Bierzesz mnie widać za jedną z tych wykwintnych cudzoziemskich lady, które przybywają czasami zobaczyć wulkan i wystawiają sobie że narażone były na niepojęte niebezpieczeństwa.

— A ty zapominasz że raz, w Waipïo, musiałem wziąść cię na ręce i przenieść przez strumień.

— Nie prosiłam cię o to, rzekła rumieniąc się.

— Nie tylko nie prosiłaś ale nawet wyłajałaś mnie porządnie, stanąwszy na przeciwnym brzegu.

— Tego już nie pamiętam, jednak muszę przyznać że wtedy bałam się trochę. Woda płynęła tak bystro, gęsta piana pokrywała fale toczące się z ogłuszającym szumem.

Szła wsparta na jego ramieniu aż do chwili gdy głośne okrzyki kanaków zwiastowały nam że doszli do drogi.

Podczas tej podróży uczuliśmy jeszcze kilkakrotnie lekkie kołysanie gruntu, ale wstrząśnienia były tak słabe że nawet Kimo zdawał się przyjmować je obojętnie; spostrzegłem tylko że często baczne wlepiał spojrzenia w Janinę i Franka. Obojętna twarz jego żadnego nie zdradzała wrażenia, ale ciekawość zbudziła się wyraźnie, o czem przekonałem się widząc że zamiast unikać, wyraźnie szuka sposobności zbliżenia się do mnie i stara się mówić o Franku i o Janinie. Pragnął koniecznie poznać cel tej podróży tak nagle postanowionej, w ciągu której mógł odgadnąć uczucia Franka, których przed tem wcale się nie domyślał. Zmiarkował jednak bardzo prędko że albo nie mogłem albo nie chciałem nic powiedzieć.

Droga teraz była lepsza, to też jechaliśmy prędko. Drzewa nie tak skupione przepuszczały światło i powietrze; drzewne paprocie roztaczały swe pierzaste kiście, szemrzące pod powiewem wietrzyka, kępy ohelosów pokrytych żółtemi jagodami, wonne goyawy otaczające ścieżkę, zwiastowały koniec lasu.

— Za godzinę będziemy nad brzegiem Kilanea, rzekł Kimo.

— Gdzie oddam cześć bogini Pele, rzekłem śmiejąc się.

— Oby Pele miała nas w swej opiece! wyrzekł poważnie.

— Czy obawiasz się jakiego niebezpieczeństwa?

Obawy jakie miałem tej nocy rozproszyły się ale teraz wracają silniejsze, rzekł śledząc bacznie każdy ruch Franka, który przechyliwszy się na siodle, zerwał zręcznie gronko ohelosu i podał Janinie.

— Czemuż teraz silniejsze żywisz obawy?

Zawahał się z odpowiedzią, gdy nagle dało się uczuć silne wstrząśnienie; wierzchowce nasze stanęły niespokojne, rozdymając nozdrza i nadstawiając uszy. Grunt kołysał się dziwnemi poruszeniami; zdawałoby się że ziemia unosi się i oddycha ciężko, a jednocześnie dał się słyszeć głuchy odgłos, niby ryczenie Oceanu, z początku wolny i niewyraźny, potem zbliżając się coraz silniejszy, niby zwiastun trwogi przebiegł pod naszemi stopami i znikł w oddali. Nastało potem głuche milczenie, jak gdyby nieruchoma przyroda powstrzymała oddech. Ani jeden owad nie uleciał nad trawą, a świetne słońce jaśniejące pełnym blaskiem nad naszemi głowami i czyste pogodne niebo, dziwną tworzyły sprzeczność z tą zapowiedzią strasznej może katastrofy.

— Zatrzymajmy się i zsiadajmy z koni! zawołał Frank.

Spełniliśmy polecenie; kanakowie szli za nami w milczeniu, prowadząc konie za uzdy; wstrząśnienia ponawiały się, słabsze wprawdzie ale częstsze. Kimo poprzedzał nas, zbliżyłem się do niego.

— Czy pamiętasz pan cośmy mówili o pieśni Kiany? zapytał poważnie.

— Pamiętam, ale dla czego teraz pytasz mnie o to? Czyż ma to jaki związek z tem co się dzieje obecnie?

— Może już niedługo dowiesz się pan tego.

Stanęliśmy nad brzegiem krateru; ostatnie promienie słońca padały w otchłań oświetlając jej prostopadłe ściany i olbrzymie kontury. Z głębi krateru dochodził nas odgłos jakby szum oddalonego morza; olbrzymie ogniste jezioro miotało swe fale

rozbijające się o wapienne ściany skał, które nie mogąc znieść takiego gorąca, rozpadały się i wpadały w krater, jakby piasczyste wybrzeże podkopane falami. Wtedy słychać było jakby szmer strumienia płynącego po kamienistem łożysku. Frank rzucił bystre spojrzenie w ognistą otchłań, i twarz jego rozjaśniła się, odetchnął spokojnie.

— Bezzasadne były moje obawy, możemy bezpiecznie przenocować tu dziś, jutro obejdziemy wulkan i wydostaniemy się na drogę do Kajlna, rzekł do mnie.

— A cóż mówi Kimo?

Obejrzeliśmy się, nie było go nigdzie. Kanakowie stali z odkrytemi głowami, czekając na rozkazy. Weszliśmy na wzgórze panujące nad kraterem; wtem Frank pochwycił mnie za rękę.

— Patrz, rzekł cicho.

Na samym wierzchołku wzgórza stał Kimo, dziwaczne wyprawiając ruchy. Ruszał powoli ręką wyciągniętą ku wulkanowi, pochylił się i rzucił w krater kilka przedmiotów, których kształtu ani natury nie mogliśmy rozpoznać, poczem usiadł na ziemi jakby zatopiony w zachwyceniu.

— Oddalmy się, rzekł Frank, lepiej żeby nie wiedział żeśmy to widzieli.

— Cóż on robi? zapytałem.

— Oddaje cześć i składa ofiary bogini Pele; Janina miała słuszność, Kimo należy do garstki sektarzy wyznających dawną wiarę. Nie mówmy z nim jednak o tym przedmiocie.

Kimo przybył niedługo; twarz jego nie zdradzała doznanych wrażeń; potwierdził zamiar Franka aby tu noc przepędzić, i znów jak wczoraj kanakowie urządzili dwa szałasy, dla Janiny i dla nas.

Uspokojeni, mogliśmy rozkoszować się wspaniałym, roztaczającym się przed nami krajobrazem. Noc zapadała; ostatni promień światła igrał na szczycie góry, z którą zdawał się rozstawać z żalem. Błędne to światło błyszczało, znikało, znów błysło i znikło i odrazu ciemność zalegla do koła. Na czarnem teraz tle, jezioro wydawało się czerwieńsze, przechodziło wszystkie cienie od oranżu aż do matowej białości, prawie oślepiającej wzrok. Nie mogliśmy oderwać oczu od tego widoku, to też zaraz po wieczerzy powróciliśmy nad brzeg krateru. Janina oznajmiła że pragnie pozostać tu przez dzień jutrzejszy, Frank przecząco poruszył głową.

— Nie chcesz zostać? zapytała zdziwiona, pragniesz więc jak najprędzej przybyć do Kajlna?

— Tak, bo nie jestem jeszcze zupełnie spokojny; przezorność nakazuje nam jak najśpieszniej zbliżać się do morza, a jeszcze do niego tak daleko. Wybuch wulkanu mógłby nas zaskoczyć w drodze, gdyż nastąpi on niemylnie, i dla tego trzebaby nam jutro równo ze świtem puścić się w drogę, i jeśli można dostać się do Kona.

Janina zgodziła się na to i powiedziawszy dobranoc udała się na spoczynek. Żałowałem bardzo że musimy opuścić wulkan, nie nacieszywszy się jego widokiem; Frank był bardzo zamyślony. Poleciwszy straży czujną baczność, weszliśmy do szałasu.

Nazajutrz spałem twardo, gdy nagle Frank zbudził mnie, wołając: Wstawaj, tylko jak najciszej.

Brzask jutrzenki nie zaświtał jeszcze. zdawało mi się że niezwykły spokój panował do koła. Monotonny szmer wulkanu ucichł zupełnie, najlżejszy wietrzyk nie zawiał, żaden listek się nie poruszył. Wstałem prędko, Frank czekał na mnie przy wejściu do szałasu.

— Chodź, rzekł tylko.

Zwróciliśmy kroki ku kraterowi, od którego oddzielało nas kilkaset metrów. Nie można iść dalej, rzekł, stoimy nad brzegiem krateru. Spojrzałem na dół i ujrzałem niewyraźnie olbrzymie ściany, otwartą przepaść, która w ciemności wydawała się jeszcze większą, ale w miejscu gdzie wczoraj widziałem ogniste morze, nic teraz nie było. Dusił mnie przykry odór siarki; z głębi otchłani wydobywała się olbrzymia mleczno-biała kolumna siarczystej pary, wznosiła się setki stóp po nad naszemi głowami, zakończona jakby olbrzymim pióropuszem zaledwie poruszającym się w powietrzu.

— Nie mamy chwili do stracenia, rzekł Frank; nastąpi straszny wybuch, gdzie, oznaczyć niepodobna. Dopokąd lawa wrze w kraterze, nie ma się czego obawiać. Kilanea jest klapą bezpieczeństwa tej wyspy, lecz jeśli Kilanea milczy, to znak nieomylny że lawa nowe sobie otwiera ujście. Fakt taki miał już miejsce w r. 1862, a wiesz jak to straszny był ów wybuch. Otóż jesteśmy zagrożeni podobną klęską, i dla tego choć dopiero trzecia rano, musimy odjeżdżać. Kimo poszedł kazać osiodłać konie, nie kazałem budzić Janiny aż wszystko będzie gotowe.

Aby nie przebudzić księżniczki, w największej cichości dokonano przygotowań; wtedy Kimo uprzedził Janinę a Frank w krótkich słowach objaśnił ją o grożącem niebezpieczeństwie. Rozkazała we wszystkiem stosować się do jego rozporządzeń i po śniadaniu ruszyliśmy w drogę. Frank jechał naprzód, potem ja z Janiną, a za nami kobiety; Kimo, otoczony najprzytomniejszymi kanakami; zamykał pochód, aby w razie nagłego przestrachu nie dopuścić nieładu i ucieczki zwierząt dźwigających nasze zapasy. Jechaliśmy po ciemku, ale Frank doskonale znał drogę i służył nam za przewodnika. Trzeba było objechać wulkan; przebyć poprzeczne pasmo gór Mauna Loa, po za którem dopiero zaczynał się okręg Kona.

Gdy dzień zaświtał, minęliśmy południowy kraniec krateru i wdzieraliśmy się na stromą kamienistą pochyłość, prowadzącą na płaskowzgórze. Do koła głęboka panowała cisza; niespokojne ptaszęta przelatywały z gałązki na gałązkę; cały świat owadów zazwyczaj tak ruchliwy i szemrzący pod tem zwrotnikowem słońcem, zamilkł i skrył się wśród liści, najlżejszy wietrzyk nie zawiał, zdawało się że cała przyroda oniemiała, zdjęta niepojętem jakiemś przerażeniem. Atmosfera była ciężka i gorąca; od czasu do czasu drżenie gruntu przypominało nieznane grożące nam niebezpieczeństwo. Wtem nagle dało się uczuć gwałtowniejsze daleko wstrząśnienie. Frank skinął na Kima, zamienili cicho słów kilka, poczem Frank prosił żebyśmy pozsiadali z koni. Ledwieśmy zdołali tego dokonać, powtórzyło się wstrząśnienie, tak silne tym razem, że ledwie mogliśmy utrzymać się na nogach. Oderwane od szczytu odłamy skał, z wielkim hałasem stoczyły się po pochyłości, gruchocząc drzewa i krzewy napotkane w swej drodze.

— Odwagi! rzekł Frank, nie możemy tu pozostać. Trzeba koniecznie dostać się na to poblizkie wzgórze, i wskazał nam ręką pagórek odległy o kilkaset metrów, na którym wznosiły się drzewa kokosowe i pandanusy.

Poszliśmy w tamtą stronę; Frank prowadził Janinę. Wstrząśnienia powtarzały się coraz częściej; drzewa kołysały się silnie, pochylając swe wierzchołki; konie nie chciały iść dalej, musieliśmy je puścić. Głuchy, nieustanny huk grzmiał pod naszemi stopami, czuć było że wzburzone ogniste morze, obijało swe podnoszące się fale o grunt po którym stąpaliśmy. Zdołaliśmy jednak wyjść na wzgórze, ale nadzwyczaj zmęczeni i osłabieni.

Ziemia się kołysała, zdawało się iż wszystko kręci się w kółko. Frank kazał rozsiodłać konie, które udało się kanakom powstrzymać i wprowadzić, umieścić zapasy żywności w cieniu drzew i wybrał najdogodniejsze miejsce dla Janiny i jej kobiet. Teraz czekajmy, rzekł do mnie, jeśli się nie mylę nie długo czekać będziemy.

Straszne wstrząśnienie wydarło krzyk przerażenia z piersi przestraszonych kobiet, potem zaraz usłyszeliśmy jakby szum bystrego potoku; sądziłem że grad kamieni i oderwanych skał spada z góry na równinę. Spojrzałem w stronę z której odgłos dochodził; ognista rzeka toczyła się ku nam. Lawa przebiła sobie ujście w łonie Mauna-Loa; i czerwone jej, białem tęczowane fale, posuwały się z przerażającym pośpiechem, unosząc z sobą odłamy skał które rozpadały się i topniały w tym gorejącym strumieniu. Zdjęci panicznym strachem, kanakowie chcieli uciekać — gdzie? sami tego nie wiedzieli. Niektórzy tracąc przytomność zbiegli ze wzgórza; chcąc przebyć parów i dostać się na równinę, ale lawa sunęła się prędzej od nich, dosięgła ich i uniosła, zginęli nie wydawszy ani jednego krzyku. Frank surowym głosem powstrzymał innych. Janina blada i milcząca przytuliła się do niego.

— Jesteśmy zgubieni! zawołała.

— Tak jesteśmy zgubieni; powtórzył Kimo; Pele wywiera swą zemstę, biada tym co się jej zaparli!

I utkwił w Janinę ponure spojrzenie.

— Milcz! zawołał Frank, jeśli mamy zginąć nie ulękniemy się śmierci. Oddal się.

Kimo uśmiechnął się pogardliwie i usiadł u stóp drzewa, w obojętnej postawie kanaka oczekującego śmierci.

— Przyjacielu, rzekł Frank podając mi rękę, Kimo ma słuszność. Lawa otacza nas ze wszech stron, a gdyby nawet nie dosięgła wzgórza, co jest już tylko kwestyą czasu, zawsze zginiemy z głodu i pragnienia w tym gorejącym piecu. Ciężko jest umierać w chwili gdy życie zdawało się obiecywać tak wiele...! ale jedna jeszcze pozostaje szansa, wprawdzie bardzo słaba i niepewna, jednak sprobować jej muszę. Powierzam ci Janinę... jeśli umrę dodał, powiedz jej jak ją kochałem...

Mówił cicho, jednak Janina dosłyszała.

— Kochasz mnie; rzekła, i promienny uśmiech twarz jej rozjaśnił, dowiedz się więc, w tej uroczystej chwili, że i ja kocham ciebie, kocham od lat wielu i przysięgłam sobie że tobie tylko oddam moją rękę. Spodziewałam się że połączymy się na tym świecie, gdy to staje się niemożliwem, przynajmniej umierajmy razem!... Nie oddalaj się ja cię kocham!...

I pochyliła się ku Frankowi, a ten złożył na jej czole pierwszy może i ostatni pocałunek.

— Teraz czy będę żyć czy umrę, niech się dzieje wola Boża! zawołał. Odwagi, droga Janino, kochanko moja, żono moja! Jeśli nie wrócę a Bóg ocali ciebie, dochowaj mi miłości i wiary. Śmierć nie przeraża tego kto wie że jest kochany.

Janina zrozumiała że postanowienie jego jest niewzruszone.

— Żegnaj mi więc! rzekła, ty co wszystkiem jesteś dla mnie; wkrótce połączymy się na wieki!...

Frank pociągnął mnie ku płynącej lawie; wstrząśnienia ustały wraz z wybuchem, ognisty potok otaczał wzgórze i zwolna podnosił się ku nam, podkopując grunt, pochłaniając jak słomki napotykane krzewy. Gęsty dym nie pozwalał nam dojrzeć szerokości strumienia i drugiego brzegu wyrwy której zapełniał łożysko. Pandanusy, podcięte od korzeni przewracały się ciężko i niknęły pochłonięte niszczącym żywiołem. Frank zatrzymał się przy olbrzymiem drzewie kokosowem; niepodobna było postąpić dalej, niesłychany skwar palił nam oczy i wysuszał gardło. Kilka chwil jeszcze a i to chwiejące się drzewo upadnie.

— Co zamierzasz czynić, Franku?

— Probować wszystkiego byle ją ocalić. Spojrz na to drzewo, na niem opiera się ostatnia moja nadzieja. I ono upadnie w ten strumień, który o ile mi się zdaje jest bardzo głęboki ale wązki, otóż chcę probować go przebyć, niby w jednej chwili przebyć piekło. Jeśli mi się to uda, jeśli zdołam schwytać którego z naszych rozbiegłych koni, przyprowadzę wam pomoc, jeśli zginę, nie o wiele uprzedzę śmierć nieuchronną, jaka nas wszystkich tu czeka. Nie mogę przecież, zawołał z rozpaczą, dozwolić jej ginąć nie wyczerpawszy wszelkich środków ratunku.

Przekładałem mu że to przedsięwzięcie niemożliwe, nie słuchał; utkwił wzrok w ognisty strumień lawy, wpatrując się w jego podnoszenie się; drzewo się zachwiało.

— Bywaj mi zdrów, przyjacielu; powiedz Janinie że umieram dla niej i z myślą o niej.

Kokos zakołysał się; olbrzymi pień jego opierał się chwilę, potem pochylił poważnie i padł w poprzek strumienia. Frank skoczył i znikł w słupie dymu. Usłyszałem straszny trzask, luzowanie zapalonych gałęzi, krzyk, i nic więcej. Z ściśniętem sercem odwróciłem oczy; wtedy spostrzegłem że Kimo stoi za mną i był świadkiem całej tej sceny. Twarz jego zdradzała okrutne, wstrętem mnie przejmujące zadowolnienie; spojrzenia nasze skrzyżowały się i Kimo odszedł nie wyrzekłszy i słowa.

Wróciwszy do Janiny zastałem ją pogrążoną w głębokiej rozpaczy.

— Biedny Frank, rzekła, poświęcił życie dla mnie jak ja swoje oddałabym za niego;... szczęściem niedługo będziemy rozłączeni... spotkamy się tam w niebie!

Upływały godziny, ponure milczenie zaległo do koła; lawa zwolna ale ciągle się podnosiła, spiek był nie do wytrzymania. Gdy wieczór zapadł rozdałem porcye żywności i wody, gdyż dzięki przezorności Franka przeniesiono nasze zapasy i umieszczono na wierzchołku wzgórza. Przekonałem się z przerażeniem, że przy największej oszczędności, zaledwie na dwa dni nam wystarczą.

Z nadejściem nocy skwar zmniejszył się trochę; o świcie zaszedłem do stóp wzgórza; lawa podniosła się o kilka metrów, tocząc bez przerwy swe czerwone, kołyszące się fale. Dym stał się nieco rzadszy ale ciężkie i gęste powietrze nie dozwalało dojrzeć drugiego brzegu wyrwy. Straszny to był dzień dla nas, prawdziwe konanie. Liście drzew schły i spadały, a ogołocone z nich gałęzie nie mogły dać nam dostatecznego chłodu. Cała karawana nasza, straciwszy wszelką nadzieję, wyglądała nieuchronnej śmierci. Udało mi się przecież rozbudzić w niektórych nieco energii i zachęcić do zbudowania dwóch szałasów z gałęzi, jeden dla kobiet, drugi dla nas. Zdawało nam się że noc nigdy nie nadejdzie, a choćby była najstraszniejszą, przekładaliśmy ją od dnia, w pośród którego spiek słońca powiększał nasze męczarnie.

Janina z godnością i religijną rezygnacyą poddała się losowi; miłość i niebezpieczeństwo natchnęły ją większą jeszcze mocą i wzniosłością duszy; nie wiedziałem dotąd jak gorącą wiarę żywiła w sercu. Mówiła ze mną o Franku; wierzyła niezachwianie że połączą się w lepszym świecie. Przypominała sobie wszystko co mówił do niej, była szczęśliwą i dumną z jego miłości, ciesząc się nadewszystko że wyznała mu uczucia swoje.

Druga już noc mijała. Zbudziłem się z ciężkiego, gorączkowego snu; jutrzenka bieliła szczyt Mauna-Loa, potok lawy toczył się ciągle; postąpił o kilka stóp, ale dym się rozszedł i mogłem spojrzeć po za brzeg przeciwny. Nigdzie ani nadziei ratunku; jakkolwiek strumień lawy płynął między dwoma wzgórzami, był jednak tak szeroki, że niepodobna było myśleć o przeskoczeniu go; Kimo stanął obok mnie dzikim dokoła spoglądając wzrokiem.

— Nasi bogowie zwyciężają! rzekł nareszcie.

Uśmiechnąłem się pogardliwie; chwile nasze były policzone. Fale ogniste podnosiły się ciągle, siła prądu pędziła je ku nam, a wzgórze podkopywane powoli, zapadało się nieznacznie.

— Bogini Pele pokazuje swą siłę, rzekł znowu Kimo.

— A cóż się z nią stanie? zapytałem wskazując mu klęczącą i modlącą się Janinę.

— Sama temu winna; Kiana to przepowiedziała.

— Kiana?

— Tak, teraz mogę już zadowolnić ciekawość pana; bo dziś może jeszcze, a najdalej jutro, wszyscy dostaniemy się w moc Pele. Słuchaj więc pan przepowiedni Kiany.

„Kochałam cię, rzekła do Vakei, i przyjdzie dzień gdy jedyna potomka naszej krwi, pokocha człowieka pochodzącego z mego rodu. Jeśli zostanie jego żoną, bogowie hawajscy stracą ostatnich wyznawców, Bóg mój i moja wiara na całym archipelagu czczoną i wyznawaną będzie.

— Czy ową kobietą, ową jedyną potomką Kiany, jest księżniczka Janina?

— Tak, a on, a Frank już nie żyje.

Oddaliłem się ze ściśnionem sercem; wtem zadrżałem usłyszawszy głośny krzyk Janiny. Wyciągnęła rękę jakby wskazując mi coś nadzwyczajnego; pobiegłem do niej; nieruchome spojrzenie utkwiła w przestrzeni.

— Patrz pan, mówiła.

Daleko, bardzo daleko, na równinie unosił się tuman kurzawy, wśród którego zdawały się migać jakby niewyraźne cienie. Załamanie gruntu zasłoniło ich na chwilę, ale znów niezadługo ukazali się na wzgórku. Przez chwilę ukazał się wyraźnie odbijając od białego tła nieba, jeździec galopem pędzący przodem; inni postępowali za nim. Widocznie zdążali ku nam.

— To Frank! Frank! krzyknęła Janina.

Byłże to on w istocie i czy mogła poznać go w takiej oddali? Wszyscy staliśmy nieruchomi, zapatrzeni w tę grupę jeźdźców pędzących co koń wyskoczy; każdy krok zbliżał ich do nas. Janina się nie omyliła, Frank jechał na czele oddziału. Zatrzymał się po drugiej stronie wyrwy, upatrując jej niespokojnem spojrzeniem; zrozumiała go, i oddzielając się od nas, wyciągnęła ku niemu ręce.

Była ocalona... i to przez niego.

Frank zsiadł z konia; zachwiał się wyraźnie, jednak siłą woli utrzymał się na nogach. Obstąpili go towarzysze; po krótkiej naradzie rozbiegli się rozpatrując brzegi ognistego strumienia dzielącego nas od nich. Po chwili dali nam znak abyśmy się skierowali ku szczytowi wzgórza, w miejsce gdzie lawa rozdzielała się na lewo i na prawo, tworząc dwa okalające nas ramiona. Tam brzeg był więcej na sztorc ścięty i urwisty, prąd szybszy i gwałtowniejszy, ale wyrwa w tem miejscu była węższa. Tylko na migi mogliśmy się porozumiewać, gdyż szum płynącej lawy zagłuszał słowa. Kanakowie ani jednego skinienia nie spuszczali z oka; obudzony instynkt zachowawczy przywrócił im siły. Na znak dany przez Franka, najmłodszy i najzręczniejszy z nich, wdrapał się prędko na olbrzymi pandanus, wznoszący się o kilka metrów od strumienia lawy, i uczepiwszy się najwyższych gałęzi, czekał dalszych rozkazów. Frank stał na przeciwległym brzegu, z wlepionemi w niego oczami, bujając w prawej ręce procą krajowców. Rozmachawszy ją powoli, cisnął wprawną i pewną dłonią i kamień jakby kulą przebił wierzchołek drzewa. Kanak w porę pochylił głowę, potem pochwycił cienki i miękki sznurek przywiązany do kamienia. Głośne, hurra! dało się słyszeć z przeciwległej strony. Z pomocą towarzyszy, kanak nasz powoli i ostrożnie przyciągnął do siebie ten sznurek, a z nim drugi znacznie grubszy ukręcony z włókien haosu, posiadających trudną do uwierzenia moc i siłę oporu. Z włókien tych krajowcy wyrabiają swoje *lassa* którym dzikie bawoły podołać nie mogą. Sznur ten kanak przywiązał mocno do najgrubszej gałęzi drzewa, a przybywający nam na ratunek, w tenże sposób umocowali drugi koniec sznura po swojej stronie. Następnie widzieliśmy jak jeden z kanaków na rozkaz Franka przytwierdził do sznura blok jakich używają do podnoszenia ciężarów, podczas gdy towarzysze jego urządzili na prędce z gałęzi rodzaj stołka i grubemi powrozami przytwierdzili go do bloku. Frank chciał pierwszy probować się przesunąć, ale ze względu na jego osłabienie, towarzysze w żaden sposób nie chcieli na to zezwolić. Najmłodszy odważył się, a my patrzyliśmy na tę niebezpieczną przeprawę, z bijącem sercem, z wytężonym wzrokiem. Sznur uginał się pod jego ciężarem; gdy przedostał się do środka zakreślił przerażająco krzywą linię. Posuwał się z wielką trudnością, z powodu że inny sznur którym był okręcony w pasie, odwijał się nadzwyczaj wolno. Przez chwilę zdawało się że dusi go skwar buchający z lawy płynącej o kilka metrów pod nim, uniósł się jednak nieco energicznym wysiłkiem i wkrótce dostał się do nas, wyzwolony z niebezpieczeństwa.

— Frank! zapytała Janina.

— Jest ranny i osłabiony znużeniem i niepokojem, ale nie ma niebezpieczeństwa.

Wkrótce przeciągnięto i utwierdzono drugi sznur, sztywno wyciągając obydwa i rozpoczęła się przeprawa. Najprzód kanakowie nasi przesunęli się pojedyńczo, potem kobiety; zostawałem jeszcze ja, Janina i Kimo.

Nie spuszczałem z niego oka, zdawał się nadzwyczaj pognębionym, ale obawiałem się wybuchu jego dzikiego fanatyzmu. Co zamyślał? kilkakrotnie nalegałem aby się przesunął, odmawiał uparcie.

— Na ciebie kolej, rzekłem.

— Nie, ja przesunę się ostatni.

Janina chciała abym przesunął się z nią razem, odmówiłem: raz że obawiałem się aby sznur nie zerwał lub przynajmniej nie ugiął się bardzo pod podwójnym ciężarem, a pochylenie takie naraziłoby nas na uduszenie, powtóre nie chciałem Kima zostawić za nami, nie ufałem mu.

Janina uległa mej prośbie i skinieniu Franka i zaczęła przesuwać się ostrożnie. Stanąłem obok Kima, gotów choćby życia go pozbawić za pierwszym podejrzanym ruchem; ale stał nieruchomy, Janina przesunęła się nareszcie i widziałem jak padła w objęcia Franka.

— Przesuniesz się więc zaraz za mną; Kimo, rzekłem doń w chwili rozstania.

— Tak, odpowiedział.

— Więc do widzenia.

— Może; Pele czeka na ofiarę.

Co chciał przez to powiedzieć? nie wiedziałem.

I ja także przesunąłem się po nad przepaścią; zanim dostałem się na przeciwny brzeg; upłynęło dwie minut które wydały mi się dwoma wiekami.

Widziałem potem jak Kimo powoli wszedł na

drzewo, pochwycił sznur, przebył bez trudności pierwszą połowę drogi, potem zdawało nam się że zatrzymał się nagle. Co robił? nie widzieliśmy, ale sznur pochylił się zwolna i zakołysał. Krzyk przerażenia wydarł się z naszych piersi. Dał się słyszeć jakby trzask i postać ludzka z wyciągniętemi rękami, znikła w gorejącej otchłani.

Kanacy nasi zaręczali iż widzieli jak Kimo przecinał nożem podtrzymujące go sznury.

Już od ośmiu lat Frank i Janina pobrali się i niebo pobłogosławiło ich związek. Mają troje ślicznych dzieciaków, córkę imieniem Kiana i dwóch synów, z których starszego trzymałem do chrztu. Dzieci te są ich rozkoszą i chlubą. Kochają się bardzo, a ja nigdy bez rozrzewnienia pomyśleć o nich nie mogę. I ciekawość moja została zadowolniona; poznałem koniec pieśni, przepowiednię Kiany. Nie przypuszczam aby Kimo mnie oszukał w każdym razie czy przepowiednia była istotną czy podrobioną, spełniła się najzupełniej, bogowie hawajscy postradali wszystkich czcicieli, Bóg prawdziwy zwyciężył.

Trzechsetletnia rocznica urodzin Rubensa

obchodzona w Antwerpii.

Wracam z Antwerpii gdzie jeździłem aby być obecnym na uroczystości urządzonej na cześć Rubensa z powodu trzechsetletniej rocznicy jego urodzin. Uroczystość ta trwała dni dziesięć, od 17 do 27 sierpnia i cała Belgia brała w niej udział. Stumilowa nieraz odległość nie zrażała dzielnych, pełnych patryotycznego zapału Belgijczyków, przerywali ciche i pracowite życie, przerywali zwykłe zajęcia i przybiegali wziąść udział w tej świetnej narodowej uroczystości. A cóż to za zapał, co za ożywienie! Kto raz był ich świadkiem, nigdy już nie posądzi tego pracowitego ludu o flegmatyczność i zbytnie umiarkowanie.

Radość i wesołość jaśniały na wszystkich twarzach, co krok spotykałem portrety Rubensa, olejne rzeźbione lub fotografowane. Stały w oknach otoczone wieńcami, na balkonach wśród kwiatów i zieleni; wieśniacy mieli je przy kapeluszach zamiast kokardy; zdobiły rydwany, były uwieńczeniem łuków tryumfalnych. Nie dość na tem; we wszystkich rozprawach, we wszystkich mowach powitalnych, konkursach muzykalnych lub literackich, mówiono o genialnym artyście i jego nieśmiertelnych dziełach, które tym sposobem uprzytomniały się w pamięci i jakby stawały przed oczami zapałem uniesionego ludu.

Uroczystość rozpostarła się po wszystkich ulicach Antwerpii; każda starała się czemś odznaczyć, wszyscy jej mieszkańcy składali się na jej przystrojenie, wyznaczali osobne komisye artystów dekoratorów, mających się tem zająć; najbiedniejsi nawet wyrobnicy nie uchylali się od składek na ten cel zbieranych przez zarząd gminny. Wszędzie pourządzano piramidy kwiatowe uwieńczone popiersiami, maszty weneckie, groty, aleje drzew jodłowych wśród których jaśniały chińskie latarnie; grupy posągów w których górował wielki mistrz otoczony najznakomitszymi swymi uczniami, słowem gdzie rzucić okiem, wszystko powtarzało jedno nazwisko, jedno budziło wspomnienie.

Wszystkie stowarzyszenia, gildy, cechy, przesadzały się w programach i oznakach czci dla nieśmiertelnego swego rodaka. Samych towarzystw śpiewów chóralnych przybyło aż czterdzieści siedm.

Starożytne społeczeństwo wielkich swoich ludzi wielbiło jak bogów, na ich cześć stawiało ołtarze, w tegoczesnem, już to nie może mieć miejsca, ale Belgia otoczyła Rubensa jedyną możliwą dziś apoteozą — chlubną popularnością — i w tym celu nietylko starano się zawsze aby lud współuczestniczył w hołdach składanych najsławniejszemu ze swoich rodaków, ale aby znał dzieje jego życia, jego arcydzieł i jego epoki. I za jednym razem, malarze, architekci, rzeźbiarze, zamienili się w historyków i biografów; zbudzili do życia ludzi i rzeczy siedmnastego wieku, a ciekawe i uważne tłumy cisnęły się w ulicach, słuchając i przyklaskując z zapałem gdy im opowiadano malowniczo i dostępnie, ubiegłe dzieje kraju i gminy. Przed ich oczami przeciągały zastępy historyczne, przedstawiając: najpierw „rydwan Muzyki“ a na nim kompozytorowie flamandzcy, obok nich starożytni rycerze bractwa Ś-go Jerzego i Ś-go Sebastyana, starodawna korporacya urzędnicza a dalej liczne grupy muzykantów i śpiewaków. Za powyższym ciągnął „rydwan Plantin'a“ sławnego typografa, a za nim postępowali wszyscy drukarze antwerpscy, niosąc symboliczne znaki swych drukarni. Trzeci oddział, równie jak poprzednie z setek osób złożony, opowiadał dzieje malarstwa flamandzkiego, począwszy od Quentin'a-Mentys, tego malarza kowala, aż do Rubensa malarza dyplomaty. Gdy tenże ukazał się jednocześnie z swem nieśmiertelnem *Zdjęciem z krzyża* (bardzo wiernie naszkicowanem na tylnym planie rydwanu) grzmot oklasków rozległ się ze wszystkich stron, zapał tłumów nie znał granic, wszyscy z poszanowaniem odkryli głowy.

Nie dość jest uczyć bawiąc, dla zupełnego zadowolnienia pospólstwa trzeba aż do przesytu uraczyć go różnorodnością zabaw i uciech. To też niepodobna wyliczać tu wszelkich w każdym dniu nagromadzonych zabaw ludowych, urządzanych we dnie i w nocy, w ogrodach, teatrach i po placach publicznych. Starano się zadowolnić wszelkie wymagania, gusta, wieki i kategorye społeczne, łącząc zawsze piękno z pożytkiem, wykazując postępy piśmiennictwa i sztuki, zaspakajając hojnie potrzeby umysłu i ciała.

Podczas, i z powodu tych uroczystości, zwołano kilka kongresów, które nie przejdą bezowocnie, jak to często bardzo miewa miejsce.

Jeszcze przed rozpoczęciem uroczystości na cześć Rubensa, zebrał się w Antwerpii pierwszy kongres, zwołany staraniem „Koła literackiego“ w celu zawiązania bratnich stosunków między pisarzami i literatami belgijskiemi, którego następstwem będzie blizkie utworzenie towarzystwa literatów. Pan von Bemmel, przewodniczący na posiedzeniu, zwrócił uwagę obecnych, iż to rzecz prawie niepojęta, aby kraj w którym duch stowarzyszeń jest więcej jak gdziekolwiekbądź rozwinięty, nie posiadał żadnego centrum literackiego; należy więc koniecznie zapełnić tę próżnię, tym więcej że rozdwojenie nie przeszkadza zawiści i małostkom koleżeństwa. Zanim jeszcze urzeczywistni się zamierzone stowarzyszenie zyskano już wiele, wykazując bez ogródek: słabostki, wady i niedostatki piśmiennictwa narodowego, a chcąc znaleźć lekarstwo trzeba pierwej poznać chorobę. Wielu mowców a szczególniej p. Karol Potwin, nader trafnie i z wielką werwą skreślili jej diagnostykę.

Drugi kongres, który następnie z Antwerpii przeniósł się do Zurychu, obradował nad reformą i kodyfikacyą stron wojujących. W rozprawach tych brali udział najznakomitsi prawnicy europejscy, i może nigdy żadne narady nie były więcej na czasie, nie dla tego aby mogły powstrzymać straszny rozlew krwi na Wschodzie, ale aby oddziaływać przeciw zwolennikom wojen, i wykazać, że w naszych czasach postęp tylko stopniowem i powolnem działaniem opinii publicznej może się urzeczywistnić.

Trzeci kongres urządzony został staraniem jego prezesa, pana Edwarda Pecher, który też w mowie powitalnej do zebranych członków, doskonale oznaczył jego cel i znaczenie.

— Na kongresie który raczyliście zaszczycić swoją obecnością, mówił, obradować będziemy nad społecznem posłannictwem sztuki i nad ważnemi kwestyami dotyczącemi dobra i losu artystów. Mam zaszczyt oznajmić, że trybuna nasza nie zna żadnych ograniczeń ani zastrzeżeń; silnie przysługującem nam prawem, pozdrawiamy jako prawo przyrodzone, swobodę myśli i słowa, czy to w przedmiocie sztuki czy filozofii, polityki lub moralności — tak więc wolno objawiać tu wszelkie opinie i zasady wypływające ze szczerego przekonania.

— Szczęśliwi jesteśmy iż możemy powitać i przyjąć was po bratersku, a takież same pełne zapału przyjęcie oczekuje was, panowie, od całej ludności starożytnego naszego grodu.

I rzeczywiście, to „braterskie przyjęcie“ nie było czczem tylko lub przesadzonem wyrażeniem; wszyscy znakomici cudzoziemcy zostali rozmieszczeni u przedniejszych obywateli miasta, którzy podejmowali ich z serdeczną gościnnością.

Niepodobna podać choćby najtreściwiej długich rozpraw kongresu podzielonego na pięć sekcyi, jako to: estetyki, architektury, historyi, prawodawstwa i ekonomii politycznej, przytoczymy więc tylko niektóre wnioski przedstawione i przyjęte przez ogólne zgromadzenie:

1-o. Powierzyć instytutowi prawa narodowego redakcyę traktatu powszechnej opieki nad własnością artystyczną i postanowić, zgodnie z wnioskiem pana Meissonier: iż konferencya nie będzie zamkniętą, aż po uregulowaniu się głównych punktów mającego się ustanowić prawa.

2-o. Utworzyć biuro nieustające obowiązane ułożyć „Codex diplomatiens Rubenianus“ obejmujące wszelkie autentyczne akta i listy pisane przez Rubensa, życiorysy współczesne lub późniejsze nie więcej jak o wiek jeden, oraz ustępy z wszelkich dzieł i artykułów rzucające jakieś światło co do dzieł wielkiego mistrza. Zbiór ten ozdobiony w miarę potrzeby reprodukcyami fotograficznemi, byłby wydany kosztem Antwerpii.

Zbytecznem byłoby dowodzić pożyteczności i ważności tych postanowień, czy tylko prędko zdołają przejść z dziedziny pomysłów w dziedzinę urzeczywistnienia i zastosowania?... Ale im trudniej czegoś dokazać, tem gorliwiej przedsiębrać to należy, i jak to słusznie powiedział przewodniczący kongresowi p. Pecher „aby pożyteczne pragnienia mogły znaleźć praktyczne rozwiązanie, trzeba żeby dojrzały w opinii ogółu, stawały się przedmiotem rozpraw w akademiach i na zgromadzeniach ludzi specyalnych, oraz zainteresowały ludzi światowych.“ Prawda tylko przez promieniowanie narzuca się i rozchodzi.

Widać chcąc nabrać sił do pracowitych rozpraw i sporów, zaproszono wszystkich uczestników i licznych gości na wspaniały bankiet, do którego zasiadło w gmachu Giełdy 159 uczestników, podejmowanych z prawdziwie książęcą hojnością i wystawnością.

Na rozpoczęcie uroczystości Rubensa złożyła się muzyka i poezya; liczne tłumy gości i krajowców zebrały się na Zielonym placu, słuchać kantaty pp.

Benoit i Geyter'a. Pan Geyter dorobił muzykę do alegorycznego poematu p. Benoit. Poeta przedstawił różne części świata, które przychodzą złożyć hołd wolności, pomyślności, bogactwu Antwerpii. Hymn na cześć starożytności i sławy Flandryi, opiewa świetną przeszłość Antwerpii; ale wkrótce odzywają się fałszywe tony zazdrości, że aż przyjazne narody muszą interweniować; wtedy wraca harmonijny spokój i daje się słyszeć tryumfalny śpiew ludów wysławiających postęp i sztukę twórczą. Kompozytor umiał zahaftować, zabarwić i uwydatnić te epizody, miał śmiałe i szczęśliwe pomysły i zdołał zadziwić i wzruszyć słuchaczy. Szczególniej żywe obudził wrażenie kompozytor, dołączając do akordów orkiestry i chóralnego śpiewu tysiąca dwustu śpiewaków, miarowe dzwonienie dzwonów i odgłosu trąbek tebańskich, dochodzących ze szczytu kościoła. Trudno opisać niespodziewane wrażenie jakie wywarły na trzydziestu tysiącach milczących słuchaczy, ostre i straszne dźwięki trąbek, łączące się nagle z porywającą i uroczystą melodyą rozlegającą się w powietrzu.

Delegaci wielu akademii i instytucyi artystycznych różnych krajów, po raz drugi zebrali się na Zielonym placu, w towarzystwie wszystkich władz miejscowych i niezliczonego tłumu, zalegającego nietylko plac i okna, ale nawet dachy poblizkich domów. Tłum ten zdawał się zatopiony w poetycznem zachwyceniu — nadeszła chwila uroczystości religijnej; miano składać wieńce na grobie Rubensa i uświęcić jego chwałę odśpiewaniem w kościele „Te Deum laudamus“ poczem przystąpiono do ustawienia kolosalnego popiersia, przy wejściu do dawnego Muzeum.

Liczny orszak, zwracający uwagę znaczną liczbą narodowości, zwrócił się ku Muzeum. Było tam sześciu delegatów Instytutu francuzkiego w narodowym stroju, delegaci królewskich Akademii z Londynu, Edymburga, Wiednia, Berlina, Sztokholmu, Amsterdamu, Pragi, oprócz wielu znakomitości różnych narodowości i wszystkich prawie artystów belgijskich oraz główniejszych przedstawicieli prasy. Po gorącej przemowie burmistrza Dewael, odsłoniono popiersie, poczem zabrali głos pp. Jakób Rousseau i Karol Blanc, który jako znakomity mówca, nader silne na słuchaczach wywarł wrażenie.

Podczas tych uroczystości otwarto także dla publiczności nowe muzeum, czyli raczej sławne mieszkanie Plantin'a, od wielu pokoleń niedostępne dla zwiedzających. Kosztowne i szacowne zbiory zamknięte w tym domu, sławne są w całej Europie, a Antwerpijczycy dotąd oglądać ich nie mogli; w ostatnich dopiero czasach władze gminne mogły nareszcie nabyć ten drogocenny zabytek, a dopuszczona do zwiedzenia go publiczność, mogła mniemać że cudownym jakimś sposobem przeniesioną została do minionego dawno XVII-go stulecia, tak starannie zachowano tu przedmioty z tej epoki. Meble, kobierce, skórzane obicia, portrety pendzla wielkich mistrzów, przepyszne sztychy według van Dyck'a Jordaens'a i ich współzawodników; miedź i drzewo służące do „illustrowania“ zapełniają wielkie sale, a wszystko nic nie uszkodzone, ustawione i rozklasyfikowane metodycznie. Biblia polliglota (wielojęzykowa) arcydzieło drukarskiego kunsztu wystawiona jest pod szkłem; formy są złożone, tylko wziąść je na prasę. Istne zmartwychwstanie.

Urządzono na czas uroczystości inną jeszcze wystawę przedmiotów sztuki: znajdują się na niej (jeźli wierzyć katalogom) pięćdziesiąt siedm obrazów Rubensa, dwadzieścia pięć van Dyck'a, siedmnaście Jordaens'a i znaczna liczba innych arcydzieł. Ani wątpić że w zbiorze tym znajduje się nie jeden obraz podejrzanej autentyczności, lecz nie zmniejsza to historycznego znaczenia wystawy. Wszystkie katalogi kłamią pod pewnym względem, otóż antwerpski jest o tyle sumienny iż oznajmia na wstępie „że odpowiedzialność za prawdę podanych objaśnień spada na wystawców,“ a gdzież jest właściciel nie łudzący się iż w swoim zbiorze posiada dwa lub trzy arcydzieła? Wszak nawet inspektorowie publicznych galeryi stają się często ofiarą zręcznych oszustów i przepłacają bajeczne sumy za podrobione obrazy — a tu bez zaprzeczenia podziwiać trzeba wiele rzeczywistych arcydzieł.

Rzadki to i ciekawy fenomen; iż mimo niestałości teoryi, które przynajmniej co lat dwadzieścia stawiają inne zasady piękna; mimo zmienności mody, która kolejno stawia na ołtarzu i strąca z nich też same bożyszcze, nigdy cień nawet nie padł na sławę Rubensa. Wszak to już przeszło dwa wieki minęło jak Cerleton, ambasador angielski ogłosił go „księciem malarzy i gentleman'ów,“ a uczony Holender Izaak Bullart, nazwał go „chlubą i kwiatem malarzy flamandzkich, a nawet europejskich.“

Także, już przed dwustu laty toczono spory o jego pochodzenie i aby mu nie ująć chwały nizkiem urodzeniem, wywodzono ród jego od jakiejś rodziny styryjskiej. Rzeczywiście zaś genealogia Rubensa rozpoczyna się od garbarza, Arnolda Rubensa, zaliczonego do mieszczaństwa antwerpskiego w roku 1350, i którego wielu bardzo potomków było aptekarczykami i sklepikarzami. Tak więc wielki artysta własną zasługą wyniósł się do godności szlacheckiej, a choć szlachectwo to jego nie sięga do wojen krzyżowych, dziś wiele starych rodów pysznią się tem, że gałęzie ich szczepione są na jego drzewie genealogicznem.

Rozgałęzieni licznie potomkowie pochodzą z drugiego małżeństwa Rubensa z piękną Heleną Fourment, z której miał pięcioro dzieci; zaś pierwsza żona, Izabella Brandt, zostawiła mu tylko dwóch synów. Dwa te małżeństwa wywarły wpływ bezpośrednio nietylko na szczęście domowe ale i na utwory i natchnienie artysty. Ilekroć chciał odtworzyć piękność kobiecą, słaby ideał ukazywał się jego wyobraźni i jak to słusznie powiedział Fromentin „wszystkie kobiety jakie malował Rubens, zawsze przypominały mniej więcej Izabelę Brandt lub Helenę Fourmont; pierwsza zapożyczała coś od drugiej, druga żywo pierwszą przywodziła na pamięć.“

Jedna z gazet antwerpskich podała przed kilku dniami listę osób spokrewnionych ze sławnym malarzem, zamieszkałych we Francyi, w Austryi, w Belgii i w Ameryce. Obecnie wszystko co tylko odnosi się do Rubensa, jest tu rozchwytywane i czytane z ciekawością. Postanowienie *koła artystycznego* aby zebrać i wydać materyały do jego biografii, dowodzi że przedmiot nie jest wyczerpany. Jeden z fotografów belgijskich postanowił odtworzyć wszystkie utwory Rubensa — tysiąc pięćset obrazów! Zapowiedziano także nowe odbicie sztychów z jego obrazów w galeryi Medyceuszów, oraz przepyszne wydanie p. n. *Biblia Rubensa*, obejmujące czterdzieści jego obrazów wziętych z Pisma Świętego.

Przywódzca szkoły flamandzkiej zdaje się urągać wiekom; sława jego nietylko nie blednie ale coraz świetniejszym błyszczy blaskiem; może inni artyści potrafili wznieść się wyżej w eteryczne strefy ideału i mistycznego wdzięku, ale nikt nie potrafił równie potężnie oddać bogactwa życia, blasku światła i harmonijnej równowagi kolorów.

Rozpisawszy się dziś o uroczystości Rubensa, sprawozdanie z ruchu naukowego i literackiego, zostawiam do następnej korespondencyi.

J. W.

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Kamila Flammarion.

Streszczone przez
Joannę Belejowską.

VI.

Księżyc, towarzysz Ziemi.

Księżyc jest najbliższym Ziemi ze wszystkich światów niebieskich, towarzyszy tejże Ziemi w jej biegu, jest jakby nierozerwalnie złączony z jej losami i oddalony od niej tylko 60 promieni ziemskich, czyli o 350,000 kilometrów, (kilometr równa się prawie jednej wiorście, zatem wypadnie 50,000 mil naszych a francuzkich *lieues* 96,000). Jest to zaledwie 400 część odległości dzielącej Ziemię od Słońca, a jedna setna milionowa część odległości najbliższej od nas gwiazdy. Gdyby można zbudować most trzydzieści razy tak wielki jak kula ziemska, możnaby dostać się na księżyc.

Dzięki tej stosunkowo niewielkiej odległości, lepiej poznano Księżyc niż inne światy niebieskie. Już od dwóch wieków rysowano jego mapę, która coraz więcej udoskonalana, jest dziś prawie tak dokładna jak mapy krajów ziemskich. Cała przestrzeń zwróconej ku nam półkuli księżycowej jest wymierzona i ponadawano jej rozmaite nazwy; wysokość gór oznaczona tak dokładnie iż zaledwie o kilka metrów różnić się może; topografia dokonana, tak że pod pewnym względem połowa świata księżycowego lepiej jest poznana niż cała kula ziemska, ponieważ istnieją na tejże całe setki, a nawet tysiące mil kwadratowych, których żadne ludzkie nie widziało oko, i równie nam są nieznane jak gdyby leżały gdzieś na jednej z najodleglejszych gwiazd. Obecnie zdejmują fotografie Księżyca które dokładnie przedstawiają kulisty czyli raczej eliptyczny kształt jego, przedłużony w kierunku Ziemi. Powiedzieliśmy wyżej że teleskop powiększający dwa tysiące razy zbliża Księżyc do naszego oka na odległość 48 mil (francuzkich) a że kula księżycowa ma 870 mil średnicy, zatem z takiej odległości dobrze może być widzianą. Szczególniej wpatrując się w Księżyc przez taki teleskop w epoce kiedy Słońce wschodzące oświetla z kolei góry, kratery, doliny i równiny, rysując olbrzymie ich profile, można widzieć wyraźnie najdrobniejszy szczegół, każdą nierówność gruntu.

Pozorna średnica Księżyca jest prawie taką jak średnica Słońca, zmienia się jednak ponieważ Księżyc nie opisuje około Ziemi zupełnego obwodu koła, ale raz jest bliżej drugi raz nieco dalej od niej. Powiedzieliśmy to samo o średnicy Słońca z powodu eliptyczności drogi ziemskiej. I dla tego gdy Księżyc przechodzi przed Słońcem i zaćmiewa go, już to jest większy niż gwiazda dzienna i wtedy powoduje całkowite zaćmienie przez pięć, sześć i siedm minut, już to mniejszy i wówczas sprawia tylko zaćmienie obrączkowe, i Słońce jak świetna obrączka wygląda do koła z pod jego tarczy. Ta przypadkowa równość dwóch tarczy wielkie korzyści przyniosła astronomii, bo gdyby w całkowitych zaćmieniach Słońca, Księżyc był daleko większym od niego, nie można byłoby odkryć wypukłości i zbadać ciekawych szczegółów atmosfery słonecznej.

Ta pozorna średnica Księżyca odpowiada trzem jedenastym czyli nieco więcej jak jednej czwartej średnicy Ziemi, z czego wywnioskowano, że obwód świata księżycowego wynosi 10,923 kilometrów, a cała powierzchnia 38,000,000 kilometrów kwadratowych, to jest prawie cztery razy tyle co powierzchnia całej Europy, a jedna trzynasta część powierzchni całej kuli ziemskiej. Z tej powierzchni więcej

jak połowa znana jest astronomom. Księżyc jest 49 razy mniejszy od Ziemi, Słońce zaś 1,279,000 razy większe jest od niej, jeśli więc tarcze ich wydają nam się równe, to jedynie dla tego że Słońce jest 400 razy więcej od nas oddalone.

Znając odległość Księżyca od Ziemi, wymierzenie jego rozmiarów jest już tylko prostem zadaniem trygonometrycznym. Ale jakim sposobem zmierzono tę odległość? Oto pytanie jakie po dziś dzień zadaje wielu „ubogich w duchu.“

Wiadomo że tak wielkich jak i niedostępnych odległości niepodobna mierzyć łokciem, metrem ani dekametrem, ale wymierza się je geometrycznie przez formowanie trójkątów, i miara taka jest najzupełniej dokładna. Jak tylko poznamy jeden bok i dwa kąty jakiegokolwiek trójkąta, długość dwóch innych boków oznacza się za pomocą formuł algebraicznych. Wszystkie główne punkta Europy oznaczone są za pomocą obrachowań astronomicznych, i we wszelkich rozmiarach urzędowych zastosowane są wymiary trygonometryczne, o których ścisłości i dokładności powątpiewać nie podobna, choć otrzymane z ich pomocą rezultaty wprawiają w podziw i niedowierzanie niepojmujących podobnych obliczeń.

Tak więc obliczono że średnia odległość Księżyca od Ziemi, wynosi 60 promieni ziemskich, a że promień Ziemi wynosi 6,366,198 metrów, zatem odległość ta czyni 96,109 mil cztero-kilometrowych. Odległość ta różni się cokolwiek z dnia na dzień, ponieważ satelita nasz nie opisuje w około Ziemi dokładnego koła ale elipsę. Z tej to odległości Księżyc obraca się około Ziemi opisując elipsę wynoszącą około 600,000 mil długości, którą przebiega w 27 dniach, 7 godzinach, 43 minutach i 11 sekundach. Tak więc więcej niż kilometr przebiega na sekundę. Oto czas trwania obrotu Księżyca około Ziemi czyli czas jaki upływa do powrotu jego na ten sam punkt nieba. Gdyby Ziemia była nieruchomą, byłby to także czas jego odmian, ale planeta nasz przesuwa się w przestrzeni, a skutkiem perspektywy zdaje się iż Słońce posuwa się w kierunku odwrotnym. Gdy skończywszy swój obwrót, Księżyc powraca na tenże sam punkt nieba, Słońce zmieniło już nieco swe położenie w tymże samym kierunku, aby więc Księżyc powrócił na swe stanowisko między Słońcem a Ziemią, Księżyc musi odbywać bieg jeszcze więcej niż przez dwa dni, ztąd wynika że *lunacya* czyli przerwa między dwoma nowiami Księżyca, wynosi 29 dni, 12 godzin, 44 minut i 3 sekundy, i to zowie się *miesiącem księżycowym.*

Księżyc równie jak Ziemia nie ma własnego światła i tylko dzięki oświetlającemu go Słońcu możemy widzieć go na niebie. Zmiany Księżyca powstają z jego położenia względem Słońca. Kiedy Księżyc przechodzi między Ziemią a Słońcem, nie jest dla nas widzialnym, gdyż wtedy tylko jego nieoświetlone półkole zwrócone jest ku nam; gdy tworzy ze Słońcem kąt prosty, widzimy wówczas połowę oświetlonej jego półkuli, jest to *pierwsza kwadra.* W miarę oddalania się Księżyca od Słońca, oświetlona część jego tarczy coraz się powiększa i po 7 lub 8 dniach cała tarcza mająca wtedy kształt zupełnego koła, przyświeca nam przez noc całą i czas ten zowie się *pełnią księżyca.* Następnie tarcza świetna się zmniejsza i Księżyc znów przedstawia się w postaci półkola t. j. w *ostatniej kwadrze*; poczem zmniejsza się coraz więcej, zbliża do Słońca i nareszcie znika w jego promieniach i to nazywa się *nowiem księżyca.*

Ponieważ obrót roczny Księżyca około Słońca, jest prawie równy obrotowi Ziemi, zatem zdawałoby się że rok jego musi liczyć jak nasz 365 dni i jedna czwarta, jednak jest krótszy o dni 19 i liczy tylko 346 dni, 14 godzin, i 34 minut. Pory roku są zaledwie odznaczone; i tak pod względem temperatury, zima nie więcej różni się od lata, jak w naszym klimacie 16 marca od 26 t. m., lub 19 września od 27 t. m. Ponieważ obrót Księżyca około swej osi odbywa się w tymże przeciągu czasu co i lunacya, to jest w dniach 29 i pół, więc taką jest *długość dnia i nocy* na powierzchni naszego satelity. Od jednego południa do drugiego upływa 708 godzin. Prawdziwy dzień, czyli czas trwania Słońca na horyzoncie, trwa połowę tego czasu czyli blizko piętnaście razy 24 godzin, i taka też jest długość nocy na Księżycu. Jest to obrót najpowolniejszy jaki znamy w całym układzie słonecznym.

Rok księżycowy składa się więc tylko z *dwunastu dni* księżycowych a każda z czterech pór roku trwa tylko *trzy dni.*

Jakże to dziwnie kalendarz tego tak blizkiego nam świata różni się od naszego! Takaż sama istnieje różnica i co do temperatury. Pory zaledwie się odznaczają, ale ogromna zachodzi różnica między temperaturą dnia a nocy. Prawdziwe zimy Księżyca są to jego długie, lodowate, co miesiąc odnawiające się noce, a rzeczywistem latem dnie jego tak długie i tak piekące. Dwa razy na miesiąc temperatura zmienia się przechodząc od gorąca wyższego niż wrząca woda, do daleko mroźniejszego zimna niż nasze śniegi północne.

Ciężkość Księżyca oznacza się według działań przyciągających jakie wywiera na Ziemię, z tych najwidoczniejsze przedstawiają przypływy morskie. Woda morska podnosi się dwa razy dziennie pod milczącem wezwaniem naszego satelity. Badając dokładnie wysokość wód tak podniesionych, poznaje się moc siły potrzebnej do ich podniesienia, a tem samem siłę czyli ciężkość wywołującej je przyczyny. Druga metoda zasadza się na zbadaniu wpływu jaki Księżyc wywiera na obroty kuli ziemskiej. Gdy znajduje się przed Ziemią, przyciąga ją i przyśpiesza jej bieg, gdy po za Ziemią, bieg jej opóźnia. Wpływ ten odbija się na Słońcu podczas pierwszej i ostatniej kwadry; zdaje się że wówczas zmieniło swe położenie na niebie o trzy części swej paralaxy, czyli o 290-tą część swojej średnicy. Otóż masa Księżyca oblicza się odnośnie do tej zmiany położenia. Trzecia metoda zasadza się na obliczeniu odpowiednio do przyciągania jakie Księżyc wywiera na równik, które wywołuje wahanie i ruch wsteczny punktów równonocnych.

Otóż wszystkie te trzy metody sprawdzają się jedna przez drugą i *zgadzają* się zupełnie że masa Księżyca jest 81 razy mniejsza od masy Ziemi, czyli że waży 81 razy mniej. Ciężkość wynosi około 78 sekstilionów kilogramów, a części składowe Księżyca są blizko o 6 dziesiątych mniej gęste niż materye z jakich składa się Ziemia. *(d. c. n.)*

Korespondencya z Płocka.

W lecie, jak wiadomo, komunikacya pomiędzy Warszawą i Płockiem jest jeszcze, stosunkowo, łatwą, gdyż trzy razy tygodniowo kursuje statek parowy między temi dwoma miastami. Wprawdzie czasem, przy nizkim stanie wody, zamiast 8 godzin jedzie się do Płocka 12, a nawet i 24 godzin, zdarza się bowiem niekiedy, że statek, ugrzązłszy na mieliźnie, zmuszonym jest na rzece nocować, z Płocka zaś do Warszawy, w górę rzeki, podróż statkiem trwa godzin kilkanaście, zawsze to jednak lepsze niż wielce utrudniona komunikacya w porze zimowej. Wtedy bowiem jedyną pozostaje droga na Kutno koleją, z Kutna zaś do Płocka 6 mil żydowskim, przepraszam, mojżeszowym omnibusem, a że po zdjęciu mostu łyżwowego niezawsze łatwo dostać się z Płocka na drugi brzeg Wisły lub odwrotnie, jadący też z Warszawy zmuszeni bywają czasem, dla braku mostu i środków przewozowych, spędzać po dni kilka w blizkiej wioseczce Radziwin. Obecnie z otwarciem kolei nadwiślańskiej, istnieje jeszcze droga inna, mniej więcej równa poprzedniej, ale co do dogodności i taniości, dość przypomnieć, że tylko z dworca kolei nadwiślańskiej na Pelcowiznie do środka Warszawy lub odwrotnie, wypada zapłacić dwa ruble za dorożkę.

Wszystko to niestety, nie daje korzystnego wyobrażenia o środkach komunikacyjnych w kraju naszym, zostających, niestety, w stanie tradycyjnego niemowlęctwa. Utrudnienia, koszta i eksploatowanie podróżnych ze stron rozmaitych, rozpoczynają się dla jadących do Płocka już w samej Warszawie. Tak, kto wybiera się w podróż z rzeczami, musi takowe dostawić na przystań w wilię odjazdu; w dzień zaś odpłynięcia, trzeba już być na przystani o 7-ej, co, jak wiadomo, w Warszawie połączonem jest z trudnością wynalezienia dorożki o tak wczesnej godzinie; nadto posługacze z przystani zazdrośnie przestrzegają swego monopolu i nie dozwalają ażeby ktoś obcy niósł pakunki na statek i t. p.

Już prawie w chwili odpłynięcia statku (przed 8-ą) zjawia się jakiś bardzo wymowny roznosiciel gazet, któremu niewątpliwie należy poczytać za zasługę, że o tak wczesnej godzinie dostarcza już świeżych numerów Kuryera Porannego.

Osobistość to bardzo wymowna i usiłująca być dowcipną; w ciągłych ukłonach i podskokach, deklamuje nieproszony długie tyrady satyryczne wierszem częstochowskim, w których nieraz przebija kierunek bardzo idealny, niekiedy nawet spirytualny...

Nareszcie natłoczyliśmy się już w dostatecznej liczbie na pokładzie statku, który rozpoczyna swą drogę; przekonywamy się jednak wkrótce, że przejmujący wiatr nie dozwala przebywać na pokładzie (nawet w ubraniach ciepłych, w które zaopatrzyli się niemal wszyscy, pomimo że był to sierpień); uciekamy więc wszyscy do kajuty, dobrze przytem zginając karki, gdyż wielka oszczędność w budowie statku sprawiła, że takowy widocznie urządzony został tylko dla ludzi miernego wzrostu, nie zaś wysokich. Ci ostatni, bez niebezpieczeństwa dla głów, nie mogą w kajucie prosto ani stać ani chodzić; nadto w kajucie panuje wielkie gorąco, czemu może nie byłoby trudnem zaradzić przy pomocy stosownej wentylacyi, i w skutek tego przejście z temperatury pokładu do temperatury kajuty nie może być zdrowem.

Zresztą kajuta klasy pierwszej urządzona jest z komfortem: meble i zwierciadła ładne, pism peryodycznych sporo. Jest nawet stolik do kart, zajęty niezwłocznie przez amatorów, którzy nie opuścili go przez cały 8 godzinny przeciąg podróży. Niektórzy, niewyspani, rozciągnęli się na aksamitnych sofkach (czasem z zabłoconemi nogami), niewiele troszcząc się o brak miejsca dla innych pasażerów; niewielkie poszanowanie rzeczy do wspólnego użytku służących objawiło się też w niezwłocznem stłuczeniu kilku szyb i t. p. Nie od dziś wiadomo, że naród nasz celuje przedewszystkiem dwoma przymiotami: wymową krasomówczą i dobrym apetytem; wkrótce więc zapanował w kajucie gwar rozmów i rozpraw i niebawem (już od godziny 8-ej) rozpoczęło się obnoszenie herbaty, kawy, jedzenia w postaci potraw mięsnych i t. p. Mówiąc nawiasem, bufet statku bywa czasem niedostatecznie zaopatrzony, a ceny nieco za wysokie, jedzenie jest jednak w ogóle znośnem.

Po drodze podziwiamy martwość okolicy: nigdzie prawie nie widać ludzi, wsie i miasteczka rzadkie, zdawałoby się, że płyniemy krajem niemal bezludnym, pozbawionym wszelkiego ruchu i rozwoju. Wisła miejscami bardzo szeroka, najszersza podobno pod Wyszogrodem, gdzie prawie drugiego brzegu

nie widać; samo zaś owo miasteczko tak szumnie i pięknie nazwane, sterczy na wzgórzu, jako zbiór nędznych lepianek. Nie zdarzyło się nam nawet spotkać berlinek ani tratew, choć tu czasem i spławia się drzewo i zboże, czasem aż z Litwy do Prus, ale handel ten bogaci wyłącznie kilka rodzin izraelskich, w ręku których, zostaje. Nakoniec przybijamy do portu, do stóp góry, na której wznosi się Płock. Niegdyś śpiewał o tym grodzie poeta:

A potem widną nocką
zobaczym białe Płocko;
następnie pod Toruniem
cichutko się przesuniem...

Dziś w Płocku już kres żeglugi osobowej Wisłą: dalej ani do Torunia, ani nawet do Włocławka dostać się już wodą niepodobna.

Dziś i Płocko już niezupełnie białe, a raczej szare (czasem od starości, jak katedra czyli tum) lub pstre i czekoladowe, gdyż takim jest kolor większej części domów, których architekturę nazwał korespondent Płocki „pudełkowatą." Wiele domów jest parterowych, z suterynami i facyatami; z tych niektóre są z muru pruskiego i z czasów pruskich pochodzą.

W starożytnej katedrze wiele dawnych nagrobków i nagrobek Władysława Hermana (w 1825 r. wystawiony). Katedrę i jej pomniki opisał ks. Krzyżanowski w dziele „Katedra Płocka" wydanem tu w r. z., szkoda tylko, że bez rycin. Jest to, mówiąc nawiasem, jedyna książka, w Płocku wydrukowana. Zresztą, niemożna zaprzeczyć, że kilka ulic wygląda wcale czysto i pokaźnie; jest tu też kilka skwerów, dużo sadów owocowych i w ogóle nieco czystszego niż w Warszawie powietrza. Tylko panujące tu silne wiatry wywierają wpływ niekorzystny na osoby mające słabe piersi (a takich w kraju naszym wszędzie jest sporo), do tej samej przyczyny wypada zapewne odnieść codzienne chrypki, kaszle i chrząkania.

W ogólności wielka tu bieda i drożyzna. Szczególniej zastanawiają masy proletaryatu żydowskiego, utrzymującego się niewiadomo z czego, przy braku fabrycznego, handlowego i przemysłowego ruchu. Na niektórych ulicach można widzieć całe tłumy izraelitów, częstokroć mężczyzn w sile wieku, okrytych trudnemi do opisania łachmanami i wysiadujących bezczynnie na chodnikach. Średniowieczna i podobno czysto polska instytucya faktorstwa, kwitnie tu jeszcze w najlepsze; posady „faktorów hotelowych" piastowane są przez pokaźne indywidua starego zakonu, a zakres ich działalności bardzo jest obszerny; tak np. „dobry ton" wymaga ażeby wszelkie interesa i nawet mniej znaczne sprawunki, załatwiane były przez przyjezdnych nieinaczej. jak za pośrednictwem faktorów, a niebrak jeszcze u nas, niestety, takich „panów" którzy „wstydziliby się" sami chodzić po sklepach.

W miejscowych księgarniach nie ma wcale nowości literackich, gdyż takowych nikt nie żąda i w ogóle te zakłady (Płock liczy ich dwa) utrzymują się głównie ze sprzedaży książek szkolnych i materyałów piśmiennych.

Tutejszy organ miejscowy „Korespondent Płocki" z początkiem kwartału powiększył objętość i w ogólności rozwija się dość korzystnie. Szkoda tylko, że drukuje w odcinku najnowszy utwór Verna „Czarne Indye," który jednocześnie drukuje się obecnie w Przyjacielu Dzieci i w Kuryerze Warszawskim. Z powodu takich zbyt już rażących jednostajności, możnaby przypuszczać, że ubóstwo umysłowe zaczyna przeważać w dziennikarstwie naszem, skoro tak skwapliwie i na wyścigi kilka pism czerpie z jednego źródła obcego. Przed kilkoma jeszcze laty, czasopisma nasze wystrzegały się podobnych powtarzań, a choć i wówczas już rzadko jedna redakcya wiedziała, co się w innych pismach drukuje, wszelako dowiedziawszy się, częstokroć zaprzestawała druku znany już z innych pism utworów. Powoli w ostatnich czasach znikły już wszelkie skrupuły; dowolne zmiany tytułów nadają często pozór nowości rzeczom odgrzewanym i jednoczesne umieszczanie tych samych utworów stało się rzeczą pospolitą. Tak niedawno przekład powieści Daudet'a „Fromont i Rister" drukowany był jednocześnie i w odcinku Gazety Polskiej i w dodatku do Kłosów, a teraz oto Czarne Indye aż potrójnej doczekały się edycyi. Zdaje się, że pod tym względem powinno być przestrzegane prawo pierwszeństwa; tak np. skoro Przyjaciel Dzieci najpierwiej (bo od Nr. 36 z d. 8 września) zaczął umieszczać to opowiadanie, nie wypadało już innym pismom brać się do repetycyi tegoż, choćby dla uniknienia posądzenia, że jedno z drugiego przepisuje, albo dla oszczędzenia nudów czytelnikowi, który np. jest tak nieszczęśliwym, że prenumeruje wszystkie trzy pisma, w których ten sam utwór znajduje.

Gimnazyum męzkie tutejsze, jedyny zakład naukowy rządowy na całą gubernią, liczy 500 uczniów; jest więc, ze względu na przepisaną liczbę uczniów, przepełnionem. I tu, jak gdzieindziej, z początkiem roku szkolnego odmówiono znacznej liczbie nowozgłaszających się kandydatów, z wielkiem oczywiście niezadowolnieniem rodziców i organów prasy. A jednak rzecz dziwna, te same organa prasy niemal jednogłośnie potępiają przy każdej sposobności panujący obecnie w gimnazyach kierunek klasyczny, nie szczędząc przekąsów i drwinek. Oto np. niedawno korespondent Płocki, krytykując architektoniczne urządzenie tutejszego gmachu gimnazyalnego, przy tej sposobności nie zaniedbał przypiąć łatki klasycyzmowi, niebardzo stosownie i niezbyt dowcipnie porównywając brak dostatecznego światła w niektórych salach szkolnych z „ciemnością kierunku klasycznego." Zastanawiając się bezstronnie nad tą powszechną niemal u nas niechęcią do kierunku klasycznego, wypadnie bodaj poszukać przyczyny tego objawu w mało rozwiniętem u nas zamiłowaniu do pracy umysłowej, czyli mówiąc po prostu, w instynkcie lenistwa; najprędzej bowiem przeciwko żelaznej i wytrwałej, lecz ożywczej i płodnej pracy nad językami starożytnemi, występują u nas ci, którzy sami nigdy tej pracy oddawać się nie chcieli, a mało rozumiejąc istotę i pożytki wychowania klasycznego, bronią uparcie łatwiejszych, podług ich zdania, dróg do chleba i karyery. Zresztą czyż my, pod tyloma względami zacofani, mamy być trzeźwiejsi i praktyczniejsi od innych narodów, opierających wychowanie humanitarne również na językach klasycznych? Nie przeszkadza to jednak i naszym publicystom nawoływać częstokroć młodzieży do nauki, choć sami tę naukę wydrwiwają i zohydzają w oczach rodziców i samej młodzieży doroślejszej, która niekiedy pisma peryodyczne czytuje. W obec tak lekkomyślnej sprzeczności w zdaniach, jest niemal cudem, że jeszcze postępy uczniów w naukach klasycznych nie są całkiem słabe, skoro o pożytku i potrzebie tych nauk uczniowie tylko słyszą w szkole, a wyszedłszy z gmachu szkolnego, spotykają wszędzie tylko drwiny z łaciny i greczyzny i różnostronne, choć niezbyt głębokie tyrady o bezużyteczności tych rzeczy wrzekomo tak „starych" i „martwych." Obok tego wszystkiego postawmy jeszcze tak pospolity fakt wstrętnej częstokroć żebraniny o opłatę wpisową, książki i mundurki, żebraniny popieranej przez jedno z błahych, choć chlubiące się tysiącami swych prenumeratorów pisemko brukowe warszawskie.

Przy końcu niniejszej, tak długiej, a nieco już spóźnionej korespondencyi, wypada mi jeszcze wspomnieć o widowiskach publicznych tutejszych. Jest tu już trupa artystów dramatycznych, pod kierunkiem pp. Kremskiego i Wojcickiego. Przedtem było parę przedstawień amatorskich i koncert pp. Wojciechowskiego i Cieślewskiego. Ten ostatni narobił nieco wrzawy swoim afiszem, w którym było wydrukowane:

. . . danym będzie koncert *pianistą Władysławem Wojciechowskim b. laureatem warszawskiej konserwatoryi i śpiewakiem Franciszkiem Cieślewskim pierwszym tenorem* warszawskiej opery. Cały ten tekst, w języku nieistniejącym ułożony, dopiero nazajutrz został poprawiony za pomocą nalepionych na zielonem tle afisza białych kartek przez kogoś litościwego, który wreszcie przypomniał „panom laureatom" (raczej ex-laureatowi, bo „byłemu") elementarne zasady gramatyki polskiej na klasę I i II. Takie i tym podobne potworne błędy przeciwko czystości języka, trafiają się coraz częściej nietylko w afiszach i ogłoszeniach, ale, jak wiadomo, i w pismach peryodycznych. Dotychczas jednak było przyjętem protestować przeciwko skażeniu języka, tak, że ci nawet, którzy sami popełniają najbardziej rażące błędy, uważali za stosowne występować czasem z ich naganą lub poprawiać innych. Ale oto teraz należy spodziewać się nowego zwrotu w tej kwestyi: Przegląd Tygodniowy, z właściwą sobie odwagą, nazywa po prostu *manią* usiłowania tych, którzy wytykają skażenie mowy literackiej i starają się takowemu zapobiedz. Jest więc nadzieja, że walka przeciwko nieumiejętności okrytą zostanie śmiesznością, a może i inne pisma, brukowe używające bardzo skażonego języka, zamiast czystości, zaczną bronić skażenia. Głos jednego czy dwóch pracowników, którzy w prasie z błędami walczyli; zostanie głosem wołających na puszczy; wypadnie wreszcie opuścić wyłom, dać pokój i założyć ręce, powtarzając starą sentencyą: *oleum et operam perdidi.*

Kwis.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 13 (25) Октября 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 43.

(Dokończenie).

N. 24—26. Ubranie spacerowe z szalową mantylą.

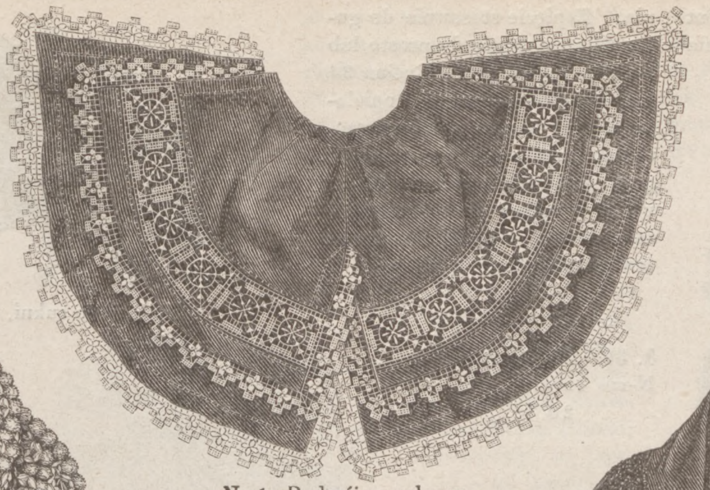
Rycina 25 przedstawia suknię z ciemno-zielonego kaszmiru, zakończoną dwoma po 9 cent. szerokiemi falbankami ułożonemi w kontrafałdy, vêtement zdobi plisa jedwabna 7 cent. szeroka i frendzla jedwabna 15 cent. szeroka. Mantyla z indyjskiego kaszmiru oszyta jest bogatą koronką.

Vêtement wzdłuż przodów zapina się rzędem guzików, zaś bryt tylny ma beduinowo podpięty; wskazanie kroju podaliśmy w maleńkim formacie na rycinie 26. Bezwzględnie na to czy plecy przy formie princesse składają się z dwóch, czterech lub sześciu części, szerokość przypuszczona na tylne upięcia vêtement naddaje się przy częściach środkowych; w formie załączonej przez nas przy plecach nadpuszczone jest tylko po 20 cent. a resztę szerokości dopełnia prosty bryt tylny, wystający u góry na 10 cent. Górny brzeg tego bryta złożony jest we dwoje, zaszyty i tworzy złożony gwiazdką do gwiazdki beduinowe podpięcie u góry przytrzymane kokardą z wstążki; resztę podpięcia stanowią fałdy dane po bokach. Takie samo ubranie lecz wykończone z materyału w paski i z gładkiego przedstawiliśmy z przodu na ryc. 24; mantyla odrobiona jest z tego samego materyału co suknia a zamiast koronki zakończa ją drobniutkie plisowanie 10 cent. szerokie objęte z brzegów jasną wypustką. Suknia z materyału gładkiego oszyta plisowaniem 13 cent. szerokiem, nad którem dana bufa z materyału w paski.

N. 27—29 i ryc. 11. Suknia z haftowanem vêtement.

Rycina 27—28 przedstawia z przodu i z tyłu suknię z vêtement bogato haftowanem, która odpowiednio do materyału z jakiego będzie wykończona, stanowić może ubranie spacerowe lub na wizyty wśród dnia albo wieczorne. Model odrobiony był z ciężkiej czarnej jedwabnej materyi, z haftem w kolorze czarnym ale ubranie to można wykończyć z kaszmiru i faille w ciemnym kolorze np. zielonym, śliwkowym, oliwkowym i t. p. dając spódnicę rękawy i kokardy z materyi a vêtement z kaszmiru, najwspanialej jednak przedstawi się materya z aksamitem a haft jedwabiem tego co tło koloru.

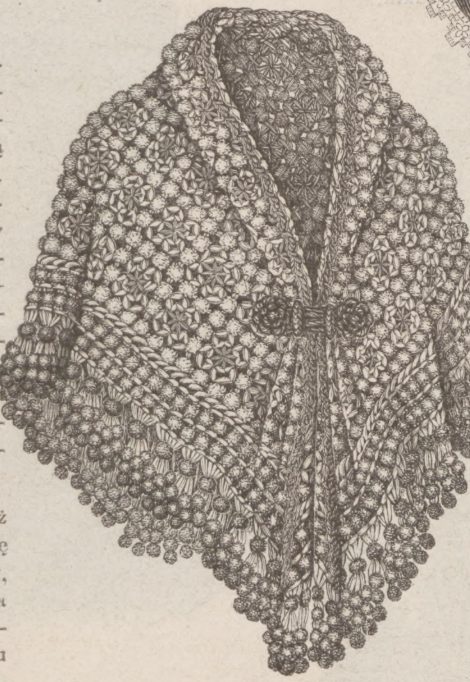
Perełki czarne i stalowe mogą zbyt odbijać od tła, w takim razie można je zastąpić rzucikiem z supełków. Formę princesse na vêtement dopasować można podług załączanych w Tygodniku i podług zmniejszonego formatu ryc. 29. Przody i boki są krajane w jednym ciągu, przy bokach nadpuszczone są 4 cent. w szerz. Plecy (od wcięcia stanu proste) złączone środkiem szwem w całej długości, z boków dopełnione są klinami, których skośna strona liczy po złożeniu fałdów 38 cent. długości; przyszywają się do prostego brzegu przodów pasując gwiazdką do gwiazdki. Podpięcie tylne tworzy się po złożeniu pięciu ścisłych fałd, oznaczonych krzyżykami, i kropkami, obydwa kliniki schodzą się następnie pod węzłem przepiętym z tyłu. Główne przyozdobienie stanowi haft wykonany jedwabiem, jedwabnym sutaszem i szmelcowanemi perełkami, który ryc. 11 przedstawia w naturalnej wielkości; deseń powtarza się w dalszym ciągu wzdłuż przodów, zachodzi w ząb



N. 1. Podwójna peleryna zdobna siatką gipiurową.



N. 2. Kołnierz marynarski z siatką gipiurową.



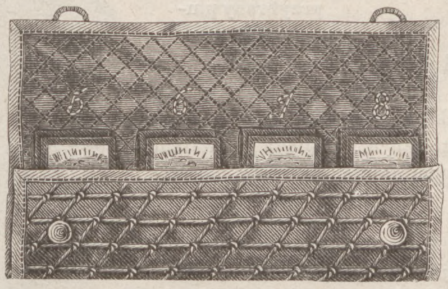
N. 3. Chustka trójkątna robiona w ramach.



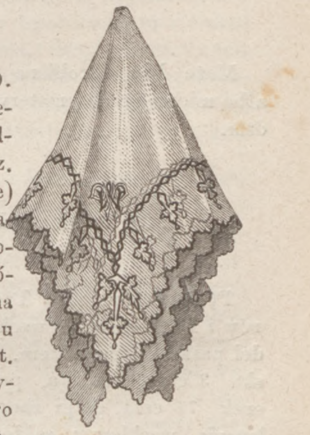
N. 4. Chustka trójkątna kaszmirowa.



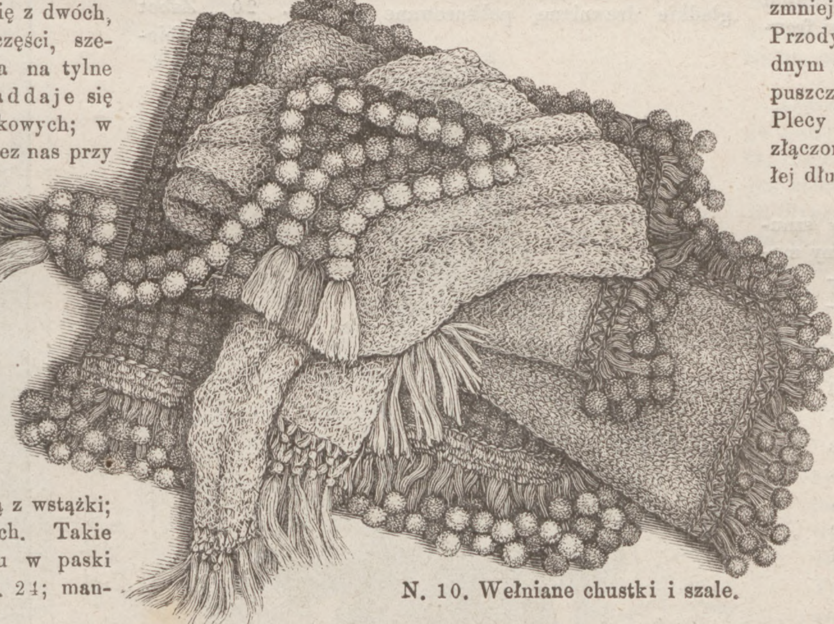
N. 5. Kwaściki do zakończenia serwety ryc. 6 w N-rze 42.



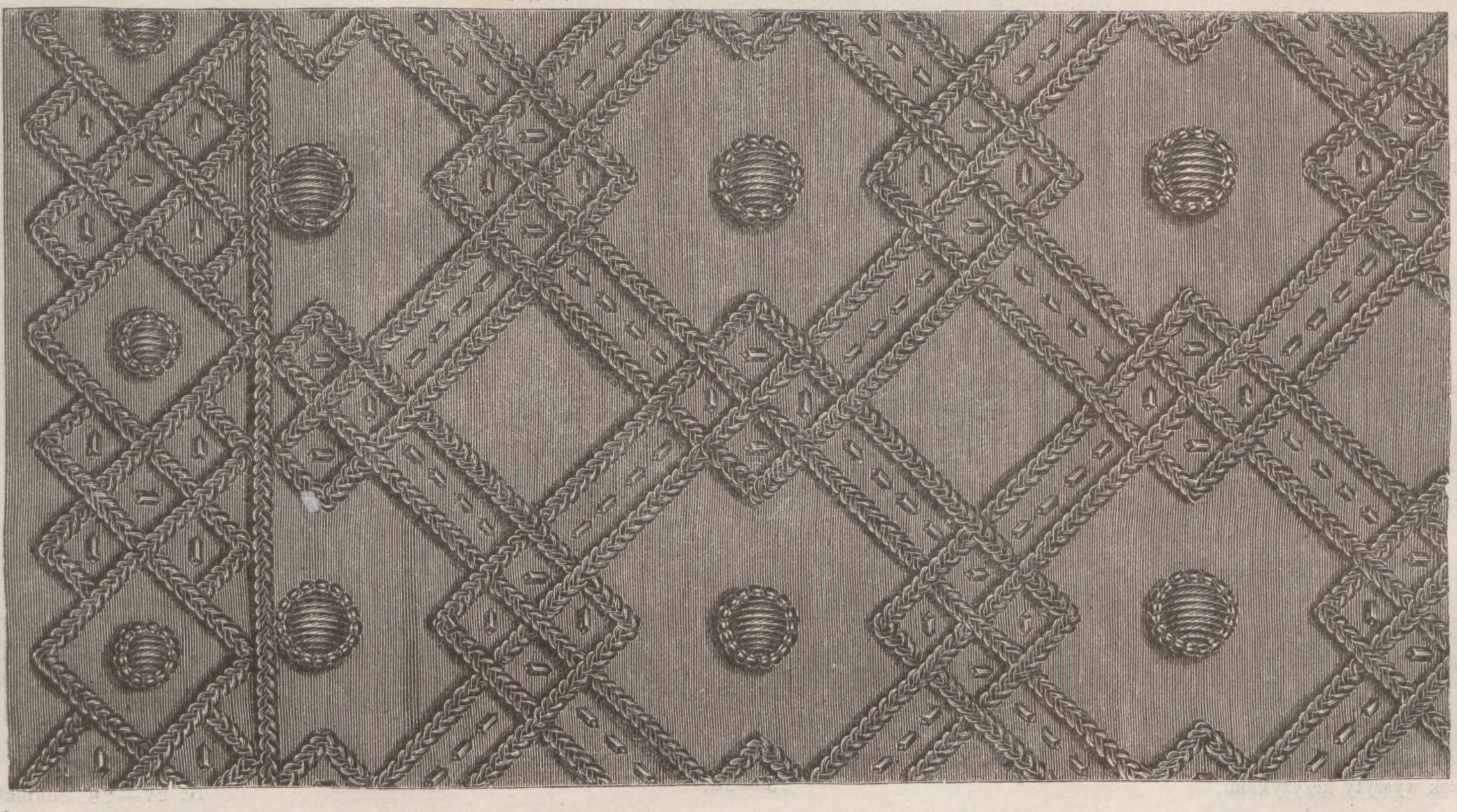
N. 6. Torebka do igieł. Patrz ryc. 7.



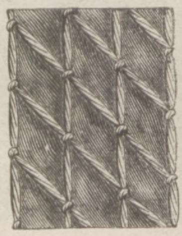
N. 9. Chusteczka batystowa ze szlakiem wyszywanym w tamborku.



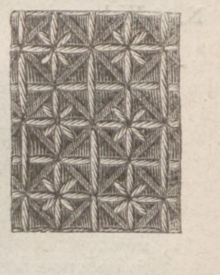
N. 10. Wełniane chustki i szale.



N. 11. Wyszycie sutaszem i dżetem do ryc. 27—28.



N. 7. Wyszycie do ryc. 6.



N. 8. Wyszycie na matelassé do ryc. 6.

na plecach i otacza trzema linijami brzegi. Dół vêtement zakończa frendzla 9 cent. szeroka; na ryc. 28 suknia i rękawy są z aksamitu, vêtement zaś z materyi faille.

N. 30—31. Szlaczki wyszyte krzyżykami.



N. 12—13. Ubranie dla małych dziewczynek.

N. 32. Tło siatkowe, na chustki, szaliki i t. p.

Może być odrobione z samej włóczki czy jedwabiu albo mieszając oba materyały; zakończenie stanowi frendzla.

N. 33. Pasek z łańcuszkiem do wachlarza.

Podawaliśmy już w Tygodniku rozmaite wzory sznurów i łańcuszków do wachlarza, dziś znów załączamy model paska z łańcuszkiem. Jestto tylko połowa paska 3 cent. szeroka, przy której dodany łańcuszek 76 cent. długi zaopatrzony haczykiem do założenia wachlarza; zakłada ją się w ten sposób iż obejmuje figurę z tyłu, z przodu zaś spięta jest łańcuszkiem który spuszcza się z boku i przytrzymuje wachlarz; zapięcie dopełnia się zakładając ogniwo za haczyk przy pasku, jaki widzimy na ryc. 33 przedstawiającej model robotą filigranową. Wachlarz odrobiony z wiśniowego drzewa, obecnie będącego bardzo w użyciu, jest zupełnie gładki i ozdobić go można ręcznem malowaniem.

N. 34—35. Sukieneczka dla dziecka.

Gładka sukieneczka formą princesse, z plecami dopełnionemi częścią fałdowaną, jest najodpowiedniejszą dla dzieci i zmieniać ją może sposób przybrania. Zapięcie stosownie do gustu daje się z przodu prosto lub skośnie, albo z tyłu. Rycina 34 przedstawia sukienkę z popielatej alpagi, przybraną 3 cent. szerokim galonem i plisowaniem; guziczki z kolorowej materyi. Na ryc. 35 podana sukieneczka tąż samą formą odrobiona z granatowego wełnianego materyału.

N. 36—38. Opis w N-rze 42 przy ryc. 20.

N. 39. Tło na pantofle, woreczki i t. p. Robota krzyżowa.

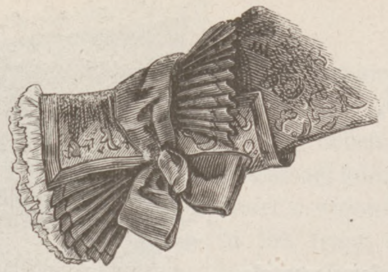
Cieniutkie kwadraty wyszyte są zwykłemi krzyżykami i ozdobione na środku krzyżykiem smyrnejskim; jasne składają się z długich krzyżyków.

N. 40—44 i ryc. 11 w N. 42. Portyera albo firanki z festonami, oszyte szlakiem haftowanym. Roleta z haftem krzyżykowym oszyta frendzlą macramé.

W miejsce toczonych lub pięknie wyrzynanych listew czyli gzemsów do firanek, modniejsze są obecnie drążki gładkie drewniane, politurowane lub złocone, zakończone robotą tokarską, przez które przerzuca się festony firanek lub portyer. Przy firankach koronkowych lub z innych lekkich materyałów festony mogą być przerzucane z szerokiej prostej firanki, przy jedwabnych, wełnianych albo kretonowych lepiej każden feston ukroić i układać oddzielnie. Dla dogodności naszych czytelniczek, których zręczne i pracowite rączki same zajmują się zawieszaniem firanki, podajemy na ryc. 41—43 zmniejszony rysunek i rozmiary takich pojedyńczych festonów które układa się w fałdy oznaczone na rysunku ząbkami i zakłada na drążek w sposób na ryc. 40 wskazany. Portyery albo firanki do pokojów sypialnych lub gabinetów powinny być przyszyte do kółek mosiężnych i zawieszone przy oddzielnych drążkach żelaznych które zakłada się na oddzielne haki i urządza do zasuwania lub rozsunięcia za pomocą sznurów, w sposób wskazany na ryc. 44. W drążku żelaznym oprócz otworów okrągłych do założenia na haki, jest jeszcze z jednego końca otwór do przeciągnięcia sznura, przy drugim dodane poprzecznie, dwa ruchome kółka na które nawija się końce sznura, opatrzone rękojeściami metalowemi lub drewnianemi. Najpierw sznur zakłada się na kółko zwierzchnie, przeprowadza ze zwierzchniej strony firanek, przywiązuje do obrączki przy wewnętrznym brzegu pierwszej firanki, prowadzi dalej do otworu w pręcie, przewłóczy przez takowe przeprowadza od spodu, przywiązuje do obrączki przy wewnętrznym brzegu drugiej firanki, i zakłada na ruchome kółko od spodu. Obadwa końce sznura spuszczone są z jednej strony, i służą jeden do rozsunięcia, drugi do zasuwania firanek. Drążek drewniany na którym ułożone są festony zasłania pręt żelazny; ozdobne końce drążka opierają się na maleńkich konsolkach, przytwierdzonych do muru.

Rycina 40 przedstawia firanki z szafirowego wełnianego materyału, oszyte szerokim szlakiem gipiurowego haftu, robionego na płótnie niewarowem, jedwabiem takiegoż koloru. Deseń do haftu podaliśmy na ryc. 11 w N. 42 Tygodnika. Do sypialnego pokoju lub gabinetu można dać firanki z deseniowego kretonu, oszyte w miejsce haftu lub koronki siatkowej falbanką z tego samego materyału, zakończoną nagłówkiem i oszytą kolorową wypustką. Do salonu albo jadalnego pokoju, firanki z materyi jedwabnej albo wełnianej mogą festony mieć oszyte frendzlą albo szeroką pasmanteryą, a spuszczone firanki sznurami.

Na rolety w miejsce białego perkalu więcej używane jest płótno écru w różnych odcieniach, ozdobione haftem krzyżykowym, kolorem ponsowym i szafirowym. Odpowiednie desenie znajdują się na arkuszu z krojami i w ubiegłych N-rach Tygodnika Mód. Próbkę pięknej frendzli macramé podaliśmy w N. 42 na ryc. 12.



N. 14. Rękaw do sukni.



N. 18. Kapelusz filcowy przybrany pluszem i piórkami.



N. 20. Żabot z koronką robioną ręcznie.



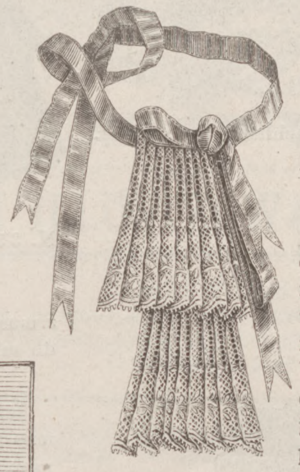
N. 16—17. Kapelusze aksamitne.



N. 15. Rękaw do sukni.



N. 19. Narożnik muślinowy.



N. 21. Żabot z koronki wyszyty perełkami.



N. 22—23. Sukienki princesse dla małych dziewczynek.



N. 24. Ubranie spacerowe z mantylą szalową. Patrz ryc. 25—26.



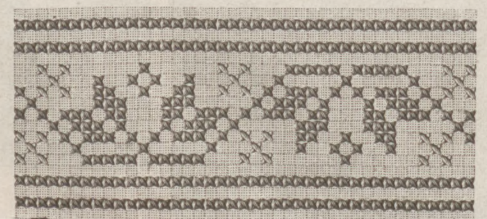
N. 27—28. Suknia z vêtement bogato haftowanym. Krój podług ryc. 29, haft podług ryc. 11.



N. 25. Ubranie spacerowe z szalową mantylą. Patrz ryc. 24 i 26.



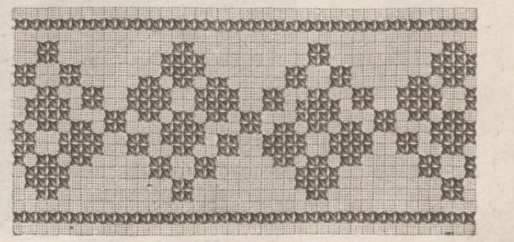
N. 29. Wskazanie kroju vêtement do sukni ryc. 27—28.



N. 30. Szlaczek wyszyty krzyżykami.



N. 29. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 24—25.



N. 31. Szlaczek wyszyty krzyżykami.

PRZEPISY KUCHENNE.

Legumina z żórawin.

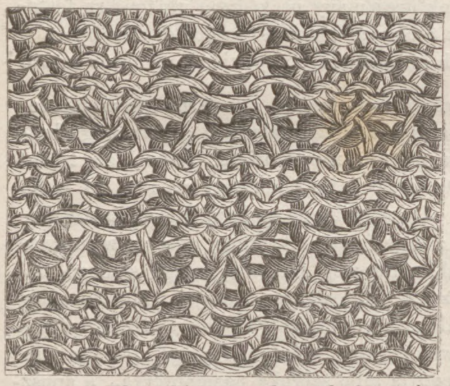
Wycisnąć żórawiny przez czysty gałganek, dolać cokolwiek zimnej wody, wlać to w rądel, wrzucić kawałek cynamonu, i dobrze zagotować. Rozrobić mąkę kartoflaną zimną wodą, w ilości jednej, lub dwóch łyżek, stosownie do ilości soku. Wlać to w sok do rądla, i razem zagotować, ciągle mieszając. Po wyjęciu z ognia, wsypać miałko tłuczonego cukru do smaku; poczem wylać w foremki, salatereczki, lub nareszcie na płaskie talerze. Gdy zastygnie, podać na stół, przydawszy osobno słodkiej, lub kwaśnej śmietany.



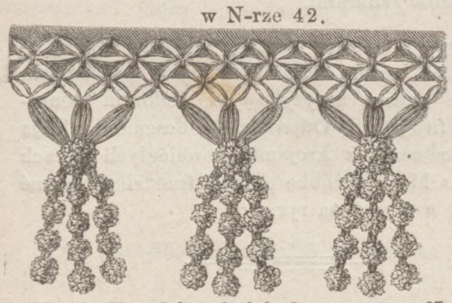
N. 34. Sukieneczka dla dziecka. Patrz ryc. 35.

Galareta pomarańczowa.

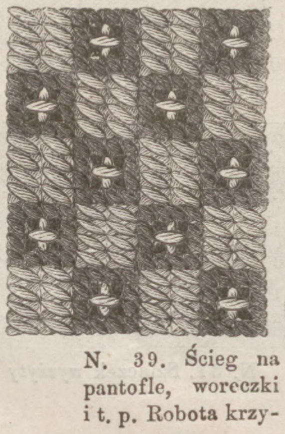
Wziąść 12 pomarańcz; jeżeli są słodkie, dodać 2 cytryny; obrać skórki z 3 pomarańcz, zawinąć w bibułkę angielską, złożoną w kształcie wachlarza, włożyć w lejek szklany, przez który sok z pomarańcz i cytryny przecedzić; dodać do tego soku, funt cukru i 2 łuty oczyszczonego i rozpuszczonego karuku.



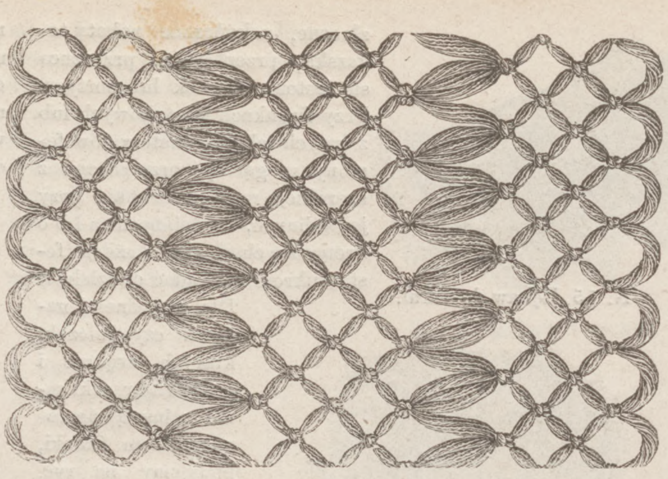
N. 36. Tło robione na drutach do ryciny 20 w N-rze 42.



N. 37. Frendzla z kulek do ryc. 20 w N. 42.



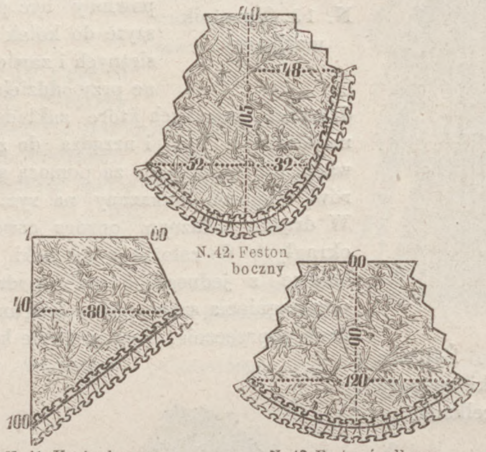
N. 39. Ścieg na pantofle, woreczki i t. p. Robota krzyżowa.



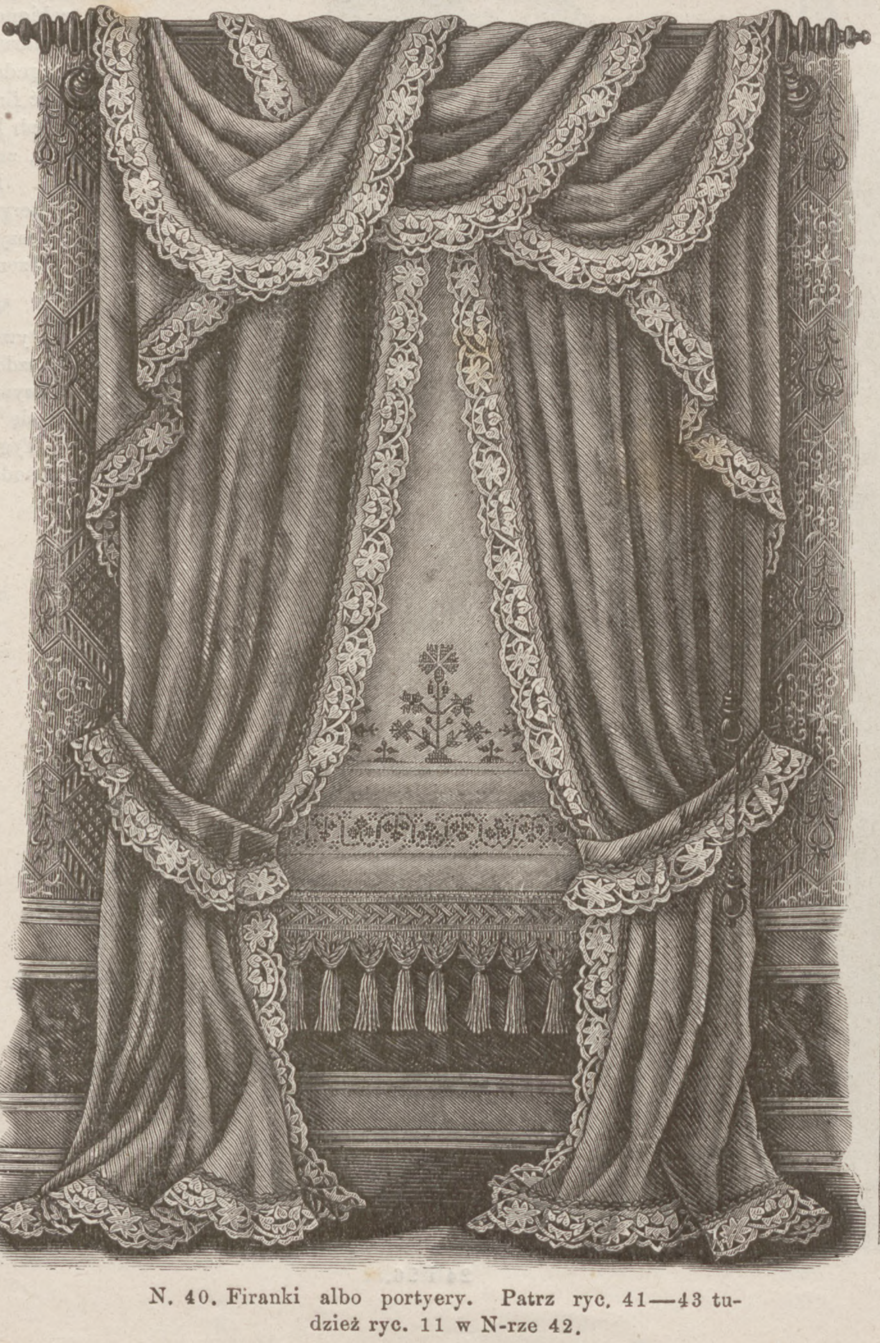
N. 32. Tło siatkowe na chustki, szaliki i t. p.



N. 33. Pasek z łańcuszkiem do wachlarza i wachlarz.



N. 41—43. Wskazanie kroju festonów do firanek ryc. 40.



N. 40. Firanki albo portyery. Patrz ryc. 41—43 tudzież ryc. 11 w N-rze 42.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1—2. Dwa ubrania negliżowe.

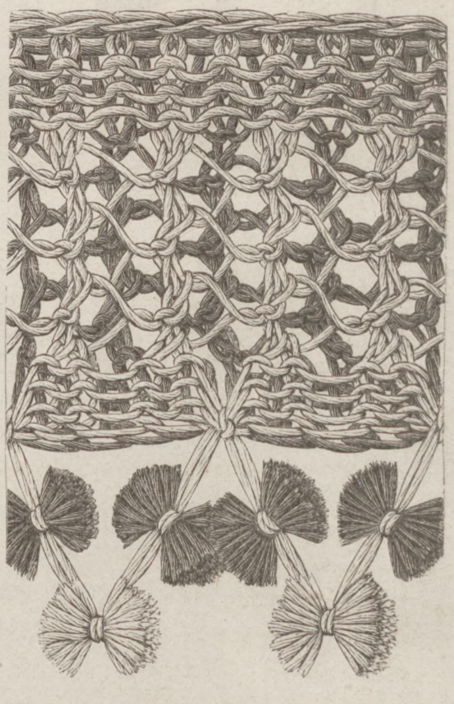
Negliż z kaftanikiem odznaczony przybraniem.



N. 35. Sukieneczka dla dziecka. Patrz ryc. 34.

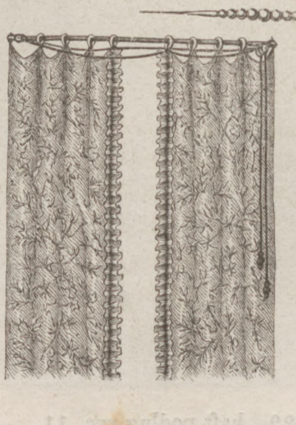
Elegancki negliż z blado-niebieskiego kaszmiru, z białą wełnianą podszewką, odszyty formą princesse a plecy dopełnione są zfałdowanemi brytami. Koronka niciana robiona ręcznie i suta riusza stanowi przybranie, odznaczające z przodu kaftanik. Rękawy zdobne są koronką i plisą złączoną kokardą; przody zapinane rzędem guzików, przedzielanych kokardami z materyi blado-niebieskiej z podszewką *caroubier*. Czepeczek z muślinowem plisowaniem z kokardami odpowiedniemi do sukni.

Negliż z fałdowanemi plecami. Za materyał służy ciemno-zielony kaszmir. Plecy zaszywane w drobne fałdki naszyte są galonem tilleul, u dołu dopełnione są częścią



N. 38. Szlak na drutach i frendzla wiązana w pęczki. Do ryc. 20 w N-rze 42.

fałdowaną tworzącą tren, oszytą dwoma wązkiemi falbankami. Galon naszyty jest od ramion wzdłuż przodów, na kieszonkach i rękawach. Kokardy i wypustki z materyi koloru tilleul. Czepeczek z ponsową wstążką.



N. 44. Firanki lub portyera urządzona do zasuwania za pomocą sznurka.